LEON SOBOCIŃSKI

ZBROJNE WALKI POMORZA

W LATACH 1918–1920

(PIERWSZA PRÓBA SYNTEZY)

TORUŃ 1938

WYKONANO W DRUKARNI ROBOTNICZEJ Sp. z o. o. W TORUNIU

CZĘŚĆ I

KMICIC BORÓW TUCHOLSKICH

Od Autora

Zdając sobie rzetelną rachubę z tego, że publikacja ta posiada sporo cech pisarskiej ułomności, to przecież zdecydowałem się wypuścić ją w świat w tym uczciwym przekonaniu, że lubo małymi środkami, to równak przysłużyłem się wielkiej sprawie.

Obca mi była zuchwała ambicja całkowitego wyczerpania rozległego tematu. Ani moje pióro, ni warunki pracy, jak również krótka perspektywa czasu nie mogły się złożyć na dzieło w swym wyrazie skończone. Więc też praca ta nie jest historią w naukowym tego słowa rozumieniu, jest zaledwie szkicem monograficznym, raczej zbiorem zwykłych opowiadań, opartych mimo to na materiale źródłowym i skontrolowanym, a skrzętnie zbieranym na przestrzeni kilku lat.

Tyle wyjaśnienia co do części II-ej p. t. „Zbrojne walki Pomorza". (Źródła podano na końcu książki).

Co się zaś tyczy części I-ej p. t. „Kmicic Borów Tucholskich", to jest to dowolna kompozycja autorska, osnuta wszakże na faktach, według ustnych relacyj świadka tych zdarzeń ks. Dembińskiego, za co Mu na tym miejscu śliczny dank składam.

Jakiekolwiek tedy w niniejszej publikacji okażą się usterki, niedociągnięcia, przeoczenia czy słabizny, to — mniemam, że poczciwa intencja, dobry zamiar i piękna chęć ocalenia od niepamięci tego, co pamiętne być powinno wiecznie, — będą mi rozgrzeszeniem w oczach światłej a surowej krytyki.

Toruń, dnia 14 lipca 1938 r.

Wszelkie rękopisy, tej pracy dotyczące, złożyłem w Książnicy Miejskiej im. Kopernika.

Walki w Borach Tucholskich z Grenzschutzem ściśle są związane z nazwiskami trzech braci Gnacińskich, którzy zorganizowani partyzantkę i dobrze się dali we znaki bandom żołnierstwa pruskiego, siejącego dokoła postrach i odgrażającego się, że na Pomorzu nie zostanie kamień na kamieniu.

Bracia Gnacińscy wrócili z Westfalii. Byli to rośli i tędzy mężczyźni, odważni, na wszystko zdecydowani. A choć po polsku niezbyt dobrze mówili, to jednak serca mieli polskie. Oni to byli przywódcami ruchawki czerskiej, stając w pierwszym rzędzie walczących.

Kiedy walki w samym Czersku ustały, Gnacińscy ze swoim oddziałem wyruszyli w nieprzebyte bory i tam założyli swój sztab, a właściwie kryjówkę. Ludzie Gnacińskich byli tak samo, jak i ich dowódcy, odważni i pełni bojowego animuszu. Oddział ten mógł liczyć od 60 do 100 ludzi, uzbrojonych w karabiny, zdobyte na Niemcach, w kosy, widły, rewolwery. Ubrania tego oddziału niewiele różniły się od ubrań żołnierzy Grenzschutzu, co niejednokrotnie — naszym powstańcom dawało znaczne korzyści, gdyż ułatwiało podejście nieprzyjaciela. Tylko orzełki polskie, jakie nosili, różniły ich od Grenzschutzu.

W czasie walk ulicznych w Czersku Niemcy schwytali jednego z braci Gnacińskich i rozstrzelali go. Pozostali dwaj bracia przysięgli zemstę. Próbowali go odbić. Zmobilizowali okolicę i planowali napad na baraki, gdzie Grenzschutz więził Gnacińskiego. Niestety plan się nie powiódł. Niemcy czuwali, bo przez swoich szpiegów wiedzieli, że Gnacińscy objeżdżają na koniach wioski i zwołują wszystkich do zbrojnej walki przeciwko zaborcom. Jeden z Gnacińskich, który był duszą całej akcji i właściwym dowódcą polskiego oddziału, mawiał, że chce być Kościuszką Borów Tucholskich.

Nasi mieli również swoich informatorów wśród żołnierzy Grenzschutzu, którzy donieśli polskiemu oddziałowi, że niemieckim oddziałom śpieszą na pomoc posiłki z Gdańska i Elbląga, że Niemcy, przestraszeni na dobre akcją Gnacińskich, sprowadzają nawet ciężką artylerię.

W tych warunkach walka była nierówna, to też oddział

polski skrył się w borach, urządzając sobie warownię we wsi Woziwoda i stąd organizował wyprawy podjazdowe. Ażeby zdobyć gotówkę na akcję bojową, Gnacińscy urządzali napady na leśniczówki, transporty, odbierając urzędnikom niemieckim pieniądze. Widocznie zasoby finansowe polskiego oddziału były znaczne, skoro ochotnikom płacono dziennie 2½ marki. Grenzschutzowi Gnaciński (junior) tak się już dał we znaki, że za jego głowę wyznaczono nagrodę 5 000 mk. A Gnaciński tak już był pewny siebie, taką posiadał brawurę, że w nocy przybywał do Czerska i do wiosek sąsiednich i pod plakatami tymi wywieszał swoje plakaty, ofiarowując każdemu, kto go schwyta nie 5 000 mk., lecz 10 000 mk. To szyderstwo z Niemców doprowadziło do wściekłości dowódców Grenzschutzu, to eż nagrody za pojmanie Gnacińskiego podwyższano. Ale w odpowiedzi na to Gnaciński wyznaczył za swoją głowę coraz większą nagrodę. Była to licytacja niepozbawiona wisielczego humoru. To też mimo grozy sytuacji, śmiano się w okolicy z Niemców, a legenda o nieuchwytności polskich zuchów z dnia na dzień wzrastała, przysparzając sławy polskim powstańcom i budząc ducha w polskim społeczeństwie.

Już nawet i Niemcy zaczęli pokpiwać z Grenzschutzu.

Ale oto, naraz — nad głową Gnacińskiego zawisło niebezpieczeństwo.

Pewnego razu, było to w lutym, bracia Gnacińscy przyszli nad wieczorem do domu. Dom ich stał pod Czerskiem, gdzie gospodarzył ich ojciec, wypierając się głośno swych synów ze względu na własne bezpieczeństwo, w gruncie rzeczy, pomagając im w ich akcji informacjami o ruchu band Grenzschutzu i o zamiarach nieprzyjacielskich.

Przez swych szpiegów Niemcy dowiedzieli się, że tej nocy Gnacińscy przyjdą do domu. Przygotowano więc na nich pułapkę, obstawiając dom naokoło Grenzschutzem. Stary Gnaciński nie miał już czasu uprzedzić swych synów. Jakież było jego zdziwienie, gdy ich tego wieczora ujrzał w mieszkaniu.

— Chłopacy, na Boga, wy tutaj, a dyć dom obstawiony szwabami! — mówi przerażony Gnaciński.

Ledwo skończył te słowa, gdy oddział Niemców wkroczył do domu starego Gnacińskiego. Ale te diabły, jak ich nazywali Niemcy, w lot obejmując okiem niebezpieczeństwo, odsunęli stół, który stał na środku pokoju nad wejściem do piwnicy, ukrywając się tam z karabinami w pogotowiu. Wejście nakryli starym dywanem, a młodsze rodzeństwo usiadło przy stole z książkami i rysikami, niby odrabiając lekcje.

— Gdzie jest Gnaciński? — pada ostre pytanie.

— Nie wiem, ja ich psich synów nie chcę znać — powiada obłudnie stary.

— Łżesz! — grożąc karabinem, mówi wściekły dowódca. — My ich widzieli wchodzić.

— Jak nie wierzyta, to szukajta — powiada ze spokojem stary.

I zaczęła się długa, uporczywa rewizja. Nie było zakamarka, szczeliny, otworu, którego by nie przetrząśnięto. Ale Gnacińscy, jak kamień w wodę wpadli. Niemcy szaleją ze wściekłości. A dzieci przy stole siedzą i uczą się pilnie. Jak niepyszni wracają Niemcy, klnąc, że to musi być nieczysta jakaś sprawa. Bo jakże, widzieli przecież Gnacińskich na własne oczy, jak się do domu zakradali, jak otwierali drzwi. Nie chcieli im przeszkadzać, licząc, że w mieszkaniu złapią ptaszków, jak w klatce, a tu nic. Co za wstyd! Dowódca oddziału poprostu szalał z gniewu, lecz na nic to się zdało. Wracali przygnębieni i pełni rozpaczy.

Gdy już Niemcy odeszli, stary wyszedł pod dom i pilnie spoglądał, czy też nie został który dla szpiegowania. — Utwierdziwszy się w przekonaniu, że nikogo nie ma, stary Gnaciński odsunął stół i drzwi do piwnicy.

— Uciekajta, bo te pieruny mogą jeszcze przyjść! — nalegał stary.

— Dawaj ojciec sanki! — rzecze młodszy Gnaciński.

— Głupi, żeby was pojmano, umykajta lasem.

— Sanki, prędzej, dawaj ojciec sanki! krzyknął Gnaciński, a rozpalone żądzą zemsty oczy mówiły, że zakiełkował w głowie junaka szatański plan.

Rad nie rad stary ojciec uległ żądaniu syna, kiwając tylko głową żałośnie, że śmiałkowie przypieczętują głową swoją nieroztropność, zamiast zmykać pieszo ciemnym borem.

— Chłopaki, pieruny, a dyć ich jest ze dwudziestu Szwabów, pojmają was, jak nic i obwieszą na pierwszym lepszym chojaku!

Biadał ojciec, boć żal zatargał ojcowskim sercem. A przypadli mu do serca synowie. Zwłaszcza ten średni syn, barczysty i rosły, jak dębczak, z wichrem kruczych włosów na głowie, z płomiennym ogniem w oku, pociecha i duma całego żywota ojcowskiego.

— Zaś nie bój się ojciec, nic nam nie będzie, pocieszał jeden z nich.

I pojechali chyłkiem leśną, wąską drożyną. Przeżegnał ojciec odjeżdżających synów, jakby ich już żegnał na zawsze.

— Uparte szczeniaki, — mamrotał stary pod nosem. Nie da rady!

I złe przeczucia dręczyły serce rodzicielskie. Utłukł mu Grenzschutz jednego syna, a teraz gotowi mu zamordować jeszcze dwóch. Lecz co zrobić, gdy są tacy zawzięci w swoich postanowieniach. Młodzi Gnacińscy jechali w dobrych humorach, śmiejąc się, że tak wywiedli Grenzschutz w pole. Nie czas im jednak było do rozmów.

— Co teraz? — spytał starszy.

— Cichoj, skręcimy na lewo i przetniemy im drogę. Karabiny nabite?

— W porządku!

— W imię Ojca i Syna! Jazda!

Popędzony konik ruszył raźno po wyboistej drodze. Jakoż w kilkanaście minut stanęli za niewielkim pagórkiem, skąd roztaczał się widok na szeroki trakt leśny, którym według wszelkich przypuszczeń powinien był wracać oddział Grenzschutzu do Czerska, po bezowocnych poszukiwaniach Gnacińskich. Przywiązawszy w gęstwinie leśnej konia, sami ustawili się tak, że niewidoczni przez nikogo, cały ów trakt mieli jak na dłoni.

— Tu na nich zaczekamy?

— Tak, tu potańcujemy z nimi na diabelskim weselu! Lucyfer już się nudzi w pieklisku — odparł średni — poślemy mu szwabski podarunek!

I postanowili czekać. Długo nie było widać nikogo. Może nie tą drogą poszli? Aż naraz, rysi wzrok młodego dojrzał w oddali poruszające się sylwetki żołnierzy Grenzschutzu.

— Idą! Są coraz bliżej. Już słychać ich rozmowy. Kłócą się między sobą.

— Już? — pyta starszy.

— Czekaj, jeszcze czas. Zaś dopiero na moją komendę.

Oddział Grenzschutzu zbliżył się do kryjówki tak blisko, że schowani za pagórkiem rozróżnić mogli nieomal poszczególne twarze.

— Ciiichooo! Rychtuj maszynę. Masz? No — raz, dwa... trzy! I ciszę Borów Tucholskich prześwidrował naraz świst kul, łoskotem odbijając się o wyniosłe wierzchołki sosen, o sklepienia tysiącletnich dębów i spadając na puszyste gałęzie jodeł i świerków.

Dwa strzały — dwóch Niemców zwaliło się na ziemię. W cały oddział — jakby trzasł grom. W pierwszej chwili, jak stado kuropatw, zerwali się do ucieczki. Ale junacy nie czekali. Raz! Raz! Raz! W nich, pludrów, bij, kto w Boga...

Wreszcie i zaatakowani odpowiedzieli strzałami. Ale

kule ich padały w próżnię. Nie wiedzeli w kogo strzelają, domyślali się tylko, że to znów sprawka tego diabła Gnacińskiego. Pobojowisko smutny przedstawiało dla Grenzschutz widok. Z kilkudziesięciu doskonale uzbrojonych żołnierzy zaledwie trzech zdołało uciec do Czerska, ażeby wystraszonym Niemcom opowiedzieć, że Gnacińscy z wielką siłą Polaków chcą ruszyć na Czersk. Przemilczeli wstydliwie, że tego krwawego dzieła dokonało dwóch młodych polskich partyzantów.)

— Teraz — rzecze młodszy, ocierając pot z czoła — nie mamy tu nic do szukania. Ich tu wróci kupa. Za jednego brata natłukliśmy siedemnastu psubratów. Narazie dość.

— Popamiętają szwaby, co znaczy zadrzeć z Gnacińskimi — dodał chełpliwie starszy.

I zadowoleni, pokpiwali z tchórzów, co ubiegli, odwiązali konia, skierowując sanki na trakt do domu.

Popędzone konisko, znając drogę powrotną, ruszyło, ale już bez Gnacińskich, jako niemy zwiastun dobrej dla starego nowiny, który przez noc całą oka nie zmrużył.

Na krwawe pobojowisko zaczął pruszyć puszysty śnieg.

I nastała cisze, — cisza, jakoby przed burzą, jakby przed
wał się o tę nazwę, on chciał być „Kościuszką".
groźną zemstą tych, co chcieli być panami starych, odwiecznie naszych Tucholskich Borów.

Gnaciński z bratem wrócił do swej kompanii zuchów, — zdecydowanych na wszystko, jak ich dowódca, ich „Kmicic", jak nazywali młodszego. Ale on miał większe ambicje. Gnie-

W gęstwinie Borów Tucholskich znajdowała się główna kwatera naszych junaków, kwatera, której Grenzschutz nie mógł wytropić. Któryż zresztą śmiałek lazłby zuchom w oczy, tam, gdzie się czuli lepiej i bezpieczniej, aniżeli w domu.

— — — — — — — — — — — — —

Sromotna porażka oddziału Grenzschutzu nie dała się ukryć. Wieść o niej szła z ust do ust. Kiwali Borowiacy głowami, dziwując się odwadze chłopców. Niemcy natomiast wściekali się, grożąc, że za tamtych siedemnastu życie oddadzą setki spokojnych mieszkańców. Ale były to tylko groźby. Borowiacy coraz bardziej poczęli żołnierzy Grenzschutzu lekceważyć. To też dowództwo Grenzschutzu wyznaczyło jeszcze większą nagrodę za schwytanie Gnacińskich, zwłaszcza młodszego. Oprócz tego zarządzono w Borach obławę na wielką skalę. Jak na dzikiego zwierza zastawiono na Gnacińskiego zasadzkę. An on tropiony, uciekł, kołował, wymykał się, ślady mylił, doprowadzając swych prześladowców do wściekłości. Aż wreszcie zdawało się, wybiła ostatnia godzina dla Gnacińskich.

Było to tak. W młodszym Gnacińskim kochała się jasnowłosa Niemka jeszcze z czasów jego pobytu w Westfalii. Lecz młodemu chłopakowi nie w głowie była żeniaczka. Może to był i wpływ matki, gorliwej katoliczki, która wciąż zaklinała syna, ażeby się nie wdawał z kobietą odmiennego wyznania. — O tę Niemkę była niezmiernie zazdrosna dziewczyna, z którą się Gnaciński zapoznał po powrocie do kraju, w Czersku. Młodzi przylgnęli do siebie całą siłą wiosennego uczucia. Pogodę wiośnianej miłości psuła jednak chorobliwa zazdrość dziewczyny. Na tym tle dochodziło do częstych scen między nimi a w końcu do zerwania. Opuszczona dziewczyna zapalała żądzą zemsty.

— — — — — — — — — — — — —

Zagubiona w rozległych Borach Tucholskich wioska Rzepicza, o kurnych, słomą pokrytych chatach, tak niezwykłych na Pomorzu, gdzie wszystko z cegieł i żelaza jest budowane, trzęsła się pewnej soboty tanecznym, weselnym rozgwarem. Było to wczesnym latem. Żyta już dobrze wybujały. Cały bór ożył zielenią gęstego listowia. Umęczeni ciągłemi podjazdami towarzysze Gnacińskiego odczuwali potrzebę rozweselenia swego żywota. A i sam ich wódz nie stronił od tańca i zabawy.

Na samym krańcu wioski stała ku ziemi pochylona karczma. Tu raz poraz wpadała drużyna Gnacińskiego na zabawę. Gdy nie było wodza, rej wodził adiutant Gnacińskiego, Szpica. Karczmę tę dzierżawiła młoda wdówka, której mąż poległ na wojnie. Do tej urodziwej wdówki tęskniło niejedno serce twardych zabijaków tucholskich. A i wdówka rada była junakom, boć napoje lały się obficie Nie żałowali pieniędzy, mieli złota, srebra pod dostatkiem. Nie jedno nadleśnictwo do cna ogołocili, niejednego obrabowali handlarza, jadącego po zakupy. Nieraz też napadli znienacka na transport pocztowy. I wtedy łupem ich stawały się worki z pieniędzmi. Więc tych pieniędzy nie żałował ani wódz, ani ich nie szczędzili ludzie Gnacińskiego.

Tej soboty przygotowano zabawę jakoś uroczyściej, wspanialej. Nic dziwnego, bo oto jeden z drużyny partyzanckiej zaręczał się z ową wdówką. Przygotowano wszystko potajemnie, zachowując wszelkie środki ostrożności.

Dookoła karczmy, w odległości kilkudziesięciu metrów ustawiono czujne warty. Grenzschutz wiedział, że polski oddział powstańczy ze swoim dowódcą często zabawia się w tej karczmie. Urządzono obławę, ale jakoś bezskutecznie. Posterunek wartowniczy w porę uprzedzał bawiących się i ci, uciekając znanymi sobie ścieżynami i krętymi droga-

mi wśród gęstych lasów, zbierali się w umówionym miejscu i z kolei napadali na Niemców. Oddziały Grenzschutzu, o ile były butne w otwartym polu, w nieznanych sobie lasach podszyte były tchórzem. Niechętnie więc zapuszczali się w bory. Nic też dziwnego, że Bory Tucholskie były domeną Gnacińskiego.. Posłuch miał on ogromny u Borowiaków. Biada, gdyby mu się kto sprzeciwił. Zdrajców, donosicieli umiał karać w sposób bezwzględny.

Bezpiecznie i pewnie czuli się chłopcy za grubym murem dębów, cisów, jodeł, sosen tucholskich. Więc zabawa niczem niezamącona, rozwinęła się na dobre. Nawet, wbrew zwyczajowi, straży wartowniczej zaniesiono moc trunków i przekąsek. Ochotnicze śpiewki rozbrzmiewały dokoła, a najdonioślej brzmiała ulubiona piosenka Gnacińskiego:

„O gdybyś ty duszo wiedziała,
Że będziesz w niemieckim ciele mieszkała“.

Dobrze się już kurzyło z czubów ucztującym, gdy naraz, jakieś podejrzane głosy i szepty dały się słyszeć za oknem. W tym wpada ze dworu zdyszany człowiek Gnacińskiego, a przeraźliwy głos jego przeciął świstem zmieszany gwar zabawy:

— Zdrada! Ratujta się! — Grenzschutz... pod karczmą!

— Na ratunek było zapóźno. Zapóźno już było nawet na obronę. Karabiny, rewolwery spoczywały nienabite po kątach izby. Powstała panika, nad którą nie mógł zapanować nawet głos wodza. Wesołe piosenki zmieniły się w pisk wystraszonych dziewczyn i w grube przekleństwa mężczyzn. Jeden Gnaciński nie stracił głowy. Z lodowatym spokojem chwycił za karabin. Niestety nienabity. Zresztą na nic w izbie wszelka broń.

Oddział Grenzschutzu pod komendą rotmistrza zwartym pierścieniem otoczył karczmę. Z zewnątrz rozległ się chrapliwy, jak psu z gardła wydarty, głos dowódcy Grenzschutzu:

— Gnaciński, poddaj się, mamy cię, ptaszku!

A na to Gnaciński huknął całą mocą swych twardo sklepionych piersi:

— Chodź tu, psia wiaro, i bierz mnie!

— Gnaciński, — dał się słyszeć już głos nieco łagodniejszy, jakby perswadujący — lepiej poddaj się po dobroci, bo jak nie, to was wszystkich ogniem wykurzymy.

— Pocałuj mnie i psa w nos, pludraku! — rzucił na odlew. Groźba podpalenia karczmy spełniła swoje. Zwłaszcza niewiasty na czele z karczmarką poczęły z płaczem pro-

sić Gnacińskiego, aby się poddał. Już i mężczyźni, co płochliwszej natury, chcą zachwiać postanowieniem wodza:

— Nie gub, człowieku, niewiast, nam wszystko jedno, czy jutro, czy dziś umierać.

— Milczeć, trzymaj faflę, jeśli ci miła. Kto chce, niech pójdzie do Grenzschutzu na gałęź. Wolna droga. Zwalniam Was z przysięgi, coście mnie i Polsce ślubowali. No, kto idzie? — Jazda!

— Zapanowała w izbie głucha cisza. Po tej przemowie swego wodza w podwładnych wstąpiła otucha... Tu i tam padał głos:

— Jak ginąć, to ginąć razem.

— Nie opuścim naszego Kmicica.

Ale jakby w odpowiedzi na to, Niemcy zapalili łuczywa na znak, że gotowi są puścić z dymem całą karczmę. — Jednakże z podpaleniem jej nie bardzo się kwapili. Czyżby wstyd im było barbarzyńskiego czynu, że razem z mężczyznami zgorzeją bezbronne niewiasty? O, nie, tych skrupułów bestialskie bandy Grenzschutzu nie miały. Nie litość ich wstrzymywała, ale chciwość.

Rotmistrz postanowił wziąć Gnacińskiego żywcem aby zgarnąć 5.000 mk., nagrody, wyznaczonej na jego głowę.

Wśród więzionych odbywa się narada, co zrobić z kobietami ,które swym lamentem gotowe złamać dyscyplinę oddziału. Jest tylko jedna rada na to: otworzyć zabarykowane drzwi i wypuścić je na podwórze. Chyba do kobiet Niemcy strzelać nie będą. Ale otworzyć drzwi, to znaczy wpuścić do środka wrogów, których siła jest conajmniej dziesiękrotnie większa. Napięcie sytuacji jest tragiczne. Co robić? Wszyscy spoglądają na wodza, żeby ten zadecydował. On jeden ma już plan gotowy.

— Wypuścić baby — rzecze ten wreszcie po namyśle — a wy chłopcy co macie, trzymajta w garści, najlepiej krótkie „dyngsy“, liwerwery i noże.

— Stańta, jedne chłopy z boku przy drzwiach, drugie schylone pod oknami ,okna letko pootwierać. Światło przyciemnić.

— No, Szpica, w imię Matki Przenajświętszej, odkluczaj drzwi!

I zazgrzytał w drzwiach starej karczmy zardzewiały klucz. Uchyliły się drzwi wąską szczeliną. — Nie zdążyła przejść otworem pierwsza niewiasta, — gdy nadludzko pchnięte o dzewnątrz siłą ,drzwi ustąpiły i — chlusnęła do izba szatańska potęga, niosąca uwięzionym przeraźliwą

rzeź. Wszelka obrona na nic. Jedynie cud uratować może schwytanych w pułapkę.

W ciasnej izbie karczmy zakotłowała walka. Wisząca u pułapu lampa naftowa rzucała posępne światło na walczących, gdy nagle Gnaciński łupnął w nią kolbą karabinu. Nstała ciemność i jeszcze większe zamieszanie. A sprawca tych ciemności, zanim się ktokolwiek zorientował, jednym susem skoczył przez okno i przepadł w rosnącym obok karczmy życie.

Ci, co nie zdołali uciec, dostali się w ręce Grenzschutzu. Pojmano między innymi brata Gnacińskiego i tym się tylko Niemcy pocieszyli w swej wściekłości, że główny dowódca polskiego oddziału umknął im z pod ręki. Zemszczą się straszliwie. Wyprowadzono jeńców, otoczono silną strażą i pognano w stronę Czerska.

Gnaciński tymczasem, umknąwszy szczęśliwie, zastanawiał się, w jakiby to sposób odbić swych towarzyszy. — Udał się do swej kryjówki i umówionym gwizdem zwoływał podkomendnych. Przezorny wódz zostawił bowiem w swym mateczniku oddział powstańców, jużby z tego względu, że trzeba było pilnować broni i skarbów.

Wnet zebrało się dokoła wodza kilkudziesięciu chłopa. Ruszyli z nim, nie pytając dokąd. Poprowadził ich wiadomymi sobie ścieżynami, zachodząc drogę Grenzschutzowi, który się trzymał głównego traktu.

I w ciszy nocnej rozpętała się znowu walka. Zaskoczeni Niemcy nie przypuszczali, ażeby mogła nadejść odsiecz. Wielu z jeńców zdołało uciec. Nie powiodło się jednak bratu Gnacińskiego, którego Grenzschutz szczególnie miał na oku, jako zakładnika. Starszy brat był żonaty i miał dzieci. Okazja więc, ażeby zemścić się na całej rodzinie.

Gnaciński tymczasem po owym nocnym napadzie zaszył się ze swoim oddziałem w puszczy tucholskiej i nie wysuwał głowy na świat boży. Wiedział, że Niemcy podwoją czujność, więc na pewien czas przyczaił się. Zastanawiał się tylko, kto mógł nasłać owej nocy Grenzschutz, a poza tym przemyśliwał, w jaki sposób uwolnić brata od niechybnej śmierci. Co do zdrady ,nie miał już żadnej wątpliwości, że była to zemsta jego narzeczonej. Utwierdził się w tym przez swoich zaufanych. Pomści się, ale później. Teraz trzeba myśleć o ratunku brata.

Tymczasem Grnzschutz, dla oddania swoim otuchy, ogłosił, że Gnaciński, herszt bandy, schwytany, i że wkrótce zawiśnie na szubienicy. Była to z ich strony nieostrożność z której Gnaciński postanowił skorzystać. Przestano

już się bać tego „diabła". Czujność żołnierzy Grenzschutzu osłabła ,a i okoliczne nadleśnictwa swobodniej odetchnęły. A Gnaciński dla silniejszego utwierdzenia wszystkich w tym przekonaniu przyczaił się w lasach. Czekał tylko sposobności, ażeby dać znać o sobie.

Chwila ta nadeszła. Wódz oddziału polskiego wiedział, że teraz bronią nic nie wskóra. Trzeba działać podstępem. Długie godziny zastanawiał się nad sposobem wydobycia brata z niewoli wraz ze swoim adiutantem Szpicą, który trafiony owej nocy w nogę w czasie ucieczki, cudem ocalał.

— Może czasby już jaki podjazd zrobić na Szwabów — mawiał adiutant.

— Poczekaj, jeszcze im zalejem sadła. Teraz nie czas. Moi ludzie niech się w borach pochowają małymi grupami. Między oddziałami zachować łączność. Nie robić teraz żadnych napadów. — Pieniędzy mamy dość. Jadła też nie zabraknie.

— Ludzie nam się zbałamucą — wtrącał wtedy Szpica.

— Podwyższyć dowódcom żołd i powiedzieć, że wnetki będzie robota.

I zamyślił się Gnaciński nad swoim planem. Po chwili zwrócił się do swego adiutanta w te słowa:

— Będziem prosić Grenzschutz o pokój.

Wierny Szpica, który przywykł do różnych dziwactw swego wodza, tym razem zaniemówił.

— Co się tak patrzysz? Dawaj, napiszem list.

Ale w obozie łatwiej było o 1.000 marek aniżeli o pióro i atrament. Wygrzebano gdzieś ołówek i kawał papieru. I adiutant, obtarłszy pot z czoła, bo wiedział, co to za praca go czeka, poślinił ołówek i rozpoczął pisać notę pokojową. Treść tej noty była mniej więcej taka: Otóż ponieważ Niemcy pojechali już do Wersalu pertraktować o pokój, i że właściwie jest już zawieszenie broni między nimi a koalicją, to on, Gnaciński, któremu się ta ciągła walka sprzykrzyła, gotów jest również z Grenzschutzm wdać się w układy pokojowe. Niech więc Grenzschutz wyśle delegacje na polankę pod wsią Rzepiczą, a on wyśle swoich parlamentariuszy i sam się stawi zaraz, gdy zajdzie potrzeba.

Komendant Grenzschutzu przyjął z zadowoleniem ową wiadomość pokojową. Teraz będzie świetna okazja, pomyślał, ażeby znienawidzonego wroga schwytać. To też wysłał na umówione miejsce delegację pokojową, a za nią wzmocniony oddział uzbrojonego Grenzschutzu z karabinami maszynowymi, polecając obstawić okolicę w promieniu kilku kilometrów.

Ale i Gnaciński miał swoje plany. Znał Niemców na wylot. Pisząc list pokojowy, dobrze wiedział, że Niemcy tylko pozornie zgodzą się na pokój, warunków nie dotrzymają, a jego powieszą. Dlatego zainscenizował tę szopkę pokojową, ażeby zapłacić Niemcom podstępem za podstęp. Chodziło mu zaś głównie o odwrócenie uwagi wrogów od jego brata, a skupienie jej na swojej osobie.

O umówionej godzinie przybył na polanę poseł Gnacińskiego. Dziwią się Niemcy, że tylko jeden delegat, zamiast kilku. Czyżby Gnaciński znów z nich sobie zadrwił? Parlamentariusz tamtej strony bierze wręczone mu przez posłańca pismo, rozrywa kopertę i czerwony ze wściekłości czyta, że on, Gnaciński, podtrzymuje swą wolę wejścia z Niemcami w układy pokojowe, że ma dość już tego rozbójniczego życia, ale przedtem, zanim się pojedna z ludźmi, musi się pojednać z Panem Bogiem i że właśnie dziś odbywa spowiedź w Legbądzie, a potem wyznaczy dzień, żeby umówić warunki z Grenzschutzem.

Posłowie Grenzschutzu wściekli ze złości, nie wiedzieli co począć. Czy zatrzymać wysłańca, ażeby im „wyśpiewał", gdzie jest Gnaciński, czy też czekać na drugie pismo Gnacińskiego. Ta ostatnia decyzja przemogła, boć ostatecznie cóż za korzyść z zatrzymania jednego człowieka? Gdyby tak postąpili, główny przywódca partyzantów miałby się na baczności i wogóle odstąpiłby od wszelkich pertraktacyj. Puścili go więc wolno.

Gdy się o tem komendant Grenzschutzu dowiedział, rozkazał natychmiast wyruszyć z obławą do Legbąda. — W samym Czersku pozostały niewielkie tylko straże.

Kiedy Grenzschutz tak gorliwie zabierał się do Gnacińskiego, on już miał gotowe plany. Zaufani ludzie donieśli mu, że wkrótce będzie wracał do Czerska większy transport pieniężny. I kiedy Grenzschutz skupiał największą uwagę na wioskę Legbąd, Gnaciński przyczaił się w lasach i wyglądał poczty, wiozącej pieniądze. Jakoż doczekał się jej niebawem. Konwój był stosunkowo nieliczny, to też Gnaciński zawładnął nim łatwo. Tym razem gratka była nielada bo 80.000 marek.

Oczywiście w Legbądzie Niemcy Gnacińskiego nie schwytali. Hauptman oddziału pienił się ze złości, że go tak haniebnie wyprowadzono w pole. Gniew jego jeszcze się spotęgował, gdy doniesiono mu o obrabowaniu poczty. Postanowiono więc rozprawić się z uwięzionym bratem Gnacińskiego.

Tymczasem nie było mowy, ażeby pokusić się o uwol-

nienie więźnia siłą .Broniły dostępu do niego karabiny maszynowe, armaty, liczna załoga, a z drugiej strony była tylko garstka wiarusów. Wziął się więc Gnaciński na inny sposób.

Wiadomymi tylko sobie drogami, zapewne za pośrednictwem starego Gnacińskiego, nawiązał kontakt ze strażą więzienną. Za 2000 marek przekupiono dozorcę i ułatwiono starszemu Gnacińskiemu ucieczkę. A stało się to w ten sposób: Z dozorcą owym ukartowano, że żona uwięzionego Gnacińskiego przyjdzie z dziećmi, żeby po raz ostatni zobaczyć się z mężem ,którego, jak Niemcy rozgłaszali, miano niebawem powiesić. Komendant więzienia zgodził się na to spotkanie, ażeby tym pogłoskom nadać cech większego jeszcze prawdopodobieństwa. Zaprowadzono więc Gnacińską z dziećmi do celi w asyście dozorcy. Podczas rozmowy z żoną więzień starał się trzymać blisko drzwi. Upatrzywszy odpowiedni moment, nagle całą mocą swych żylastych ramion pchnął dozorcę i błyskawicznie znalazł się za drzwiami, szybko przekręciwszy klucz w zamku. — Zamknięty w więzieniu dozorca wraz z dziećmi i Gnacińską przedstawiał pocieszny widok. Zanim wszczął udany alarm, Gnaciński już był daleko. Przeprowadzone śledztwo nie ustaliło wyraźnej winy dozorcy, gdyż więzień był roslym, silnym mężczyzną, mógł więc łatwo obezwładnić jednego dozorcę. Skończyło się na naganie i areszcie.

— — — — — — — — — — — — — —

Nastał wreszcie pokój, tak bardzo upragniony przez cały wojujący świat. Podyktowano Niemcom warunki w Wersalu. Odetchnęły, zdawało się, swobodniej i Bory Tucholskie. Grenzschutz nie przestał jednak szykanować ludności polskiej. Czuli się tu jeszcze, jak u siebie w domu. Dopiero przecież w rok potem wojska polskie objęły Pomorze, prawe dziedzictwo praojców, we władanie.

Któregoś dnia rozeszła się wieść, że Gnaciński przekradł się ze swoim oddziałem do Wielkopolski, aby przyłączyć się do tworzących się tam pułków pomorskich. Już kilka tygodni upłynęło w spokoju, nieomylny znak, że Gnacińskiego niema. Grenzschutz, zostawiony w spokoju, poczynał powoli ściągać posterunki. A gdy jeszcze przyszedł od Gnacińskiego list z Wielkopolski, adresowany do komendanta Grenzschutzu z szyderczym zapewnieniem, że Grenzschutz narazie nie potrzebuje się niczego obawiać, aż on, Gnaciński, wróci z wojskiem polskim, utwierdzili się wszyscy w przekonaniu, że Gnacińskiego nie ma w borach. Dla pewności wszakże Grenzschutz, znając przebie-

głość Gnacińskiego, miał na oku dom jego ojca. A nuż Gnaciński zechce wrócić pożegnać się z rodzeństwem? Ale drugi i trzeci tydzień mijał, a Gnaciński przepadł.

Gnaciński istotnie myślał o przedarciu się ze swoim oddziałem do wojsk polskich. Przed tym jednak chciał jeszcze wykonać jeden plan: ukarać tę, która naprowadziła Grenzschutz owej pamiętnej nocy na karczmę w Rzepiczy.

Nie przeczuwał niestety, że tym razem i na niego zły los zastawił matnię, z której już nie miał się wyplątać.

— — — — — — — — — — — — — —

Ktoregoś dnia, a było to dobrze pod wieczór, jesienią, stacjonowany w domu starego Gnacińskiego oddział Grenzschutzu wracał z lasu. Załoga często wychodziła na grzyby wbrew przepisom służbowym. Nic przecież już im nie groziło. „Gnaciński kaput" — powiadali. Nagle struchleli: dwóch oficerów pruskich szło w ich stronę. Stanęli na baczność, wyprężeni jak struna.

— Gdzie się włóczycie? To tak wy Gnacińskiego pilnujecie? — zagrzmiał surowy głos oficera.

— Herr Hauptmann... wymamrotał dowódca oddziału, nie wiedząc jak się tłumaczyć.

— Tak nie idzie — srożył się oficer. — Jesteście zwolnieni. Zameldujecie się u mnie jutro. Zostawić broń i pasy. Na wasze miejsce przyjdą inni.

— Herr Hauptmann...

— Milczeć!

— Rozkaz, panie kapitanie.

— Zabierzcie ten list do waszego dowódcy kompanii! Oficer nakreślił pośpiesznie ołówkiem kilka zdań, po czym papier zwinął w kopertę i zapieczętował.

— A teraz odmaszerować!

Wystraszeni żołnierze, przeczuwając, jaka ich spotka kara, za nienależyte spełnianie swych obowiązkow, wlekli się powoli do Czerska ze spuszczonymi głowami. A dwaj oficerowie, porozumiewawszy się znacząco wzrokiem, skręcili do lasu.

Ruszyli również w stronę Czerska krokiem przyspieszonym. Nie rozmawiali ze sobą, wiele. Pędzili już z gotowym planem, byli to bowiem, jak każdy chyba się domyśli, dwaj bracia Gnacińscy.

Szli dokonać zemsty.

Ciemno już było na dworze. Jesienny wicher z deszczem pomieszany, żałośliwie szlochał w gęstych konarach drzew. Dwaj Gnacińscy szli, milcząc. Wiedzieli przecież dokąd i poco idą.

— A co potem zrobimy? — przerwał ciszę starszy brat.
— Pójdziemy do domu pożegnać się ze starymi i jazda do wojska polskiego. Tu już nie mamy co do czynienia. — Grenzschutz i tak strachem podszyty, — odparł zapytany.

Śpiesząc się bardzo ażeby wyprzedzić ów posterunek Grenzschutzu, dopadli do znanej sobie chaty, stojącej na uboczu wioski. Młodszy zapukał w okno. Po chwili odezwał się głos kobiecy z wnętrza izby:

— Kto tam?

— To ja, August, wpuść.

Mieszkanka izby widocznie miała zaufanie do przybyłego ,skoro skwapliwie drzwi otworzyła, mówiąc doń z wyrzutami:

— Widzisz, stęskniłeś się do mnie. Mój ty najukochańszy.

— Tak, stęskniłem się do ciebie, czarownico. Przyszedłem ci ułatwić drogę do piekła, jakżeś ty Grenzschutzowi ułatwiła drogę do mnie. Pamiętasz? — błysnął gniewnym wzrokiem Gnaciński.

Dziewczyna zrozumiała wszystko. Strach odjął jej mowę. Wiedziała, że Gnaciński żartów nie stroi, czuła swoją winę. Rzuciła się na kolana, a ze zduszonej krtani wybełkotała w śmiertelnym przerażeniu ostatniej godziny.

— Daruj, August, przebacz!

— Mów pacierz, zdrajczyni, ostatnia to już twoja chwila. No, już!

Dziewczyna, na wpół omdlała, przyczołgała się do nóg groźnego mściciela.

— No, szybko, westchnij do Boga.

I gdy ofiara ociągała się ze spełnieniem rozkazu Gnaciński skinął na brata. W jednej sekundzie oplątano dziewczynę sznurami i zawieszono na haku, który wisiał u pułapu izby. Scena cała nie trwała nawet pięciu minut. Powiesiwszy nieszczęśliwą nogami do góry, z zaknębłowanymi ustami, sami co tchu zniknęli. Ofiara zemsty Gnacińskich wisiała kilka godzin w pozycji głową na dół, niedotykając podłogi, dopiero nad ranem sąsiedzi martwą od strachu uwolnili z powrozów.

Taką była zemsta Gnacińskiego na swej narzeczonej, której zdrada o mało co nie zgubiła polskich partyzantów.

Dwaj bracia szybko wrócili lasami w stronę domu, a idąc śmiali się z całej awantury, ciesząc się jednocześnie, że tak gładko poszło im z ukaraniem zdrajczyni.

— Najadła się strachu, to prawda — odezwał się starszy, ale teraz odechce się jej na drugi raz Niemcom służyć.

— Taką to i powiesić było nie żal, aleć zawsze niewiasta, niech ją tam Pan Bóg sądzi.

— — — — — — — — — — — — — — —

Łatwo sobie wyobrazić, jaki wściekły gniew musiał ogarnąć komendanta Grenzschutzu, gdy zobaczył naraz posterunek, wracający do domu starego Gnacińskiego.

— Kto wam pozwolił opuścić wartę? — pienił się ze wściekłości komendant.

— Panie komendancie, — tłumaczył mu starszy, — dwóch naszych oficerów — oto list.

Komendant rozerwał kopertę i rzucił okiem na pismo, a w miarę, jak czytał, bladł, to ponsowiał na zmianę. Bo też było czego się wściekać. Pismo owo było tej treści:

Kochany Panie Komendancie!

Ja, August Gnaciński, król i Kościuszko na Borach Tucholskich, zwolniłem z warty pańskich ludzi, bo teraz wieczory są chłodne i mogliby dostać kataru, a Gnacińskiego i tak nie upilnują. Szkoda ludzi. Mógłbym ich powystrzelać jak kaczki, ale darowałem im życie. Niech wiedzą, kto to jest Gnaciński. I pana, mój kochany komendancie, jak się pan będzie dobrze sprawował, niedługo też zwolnię z Czerska, gdy tu wrócę z wojskiem polskim. Tymczasem posyłam panu ukłony, a niedługą poślę was do wszystkich diabłów.

(—) Król August Gnaciński.

— Donnerwetter, wy osły, barany, ja was!... — pienił się dowódca, wpadając po prostu w szał gniewu, a słowa przekleństw i groźb wyrzucał z ust bez związku. Był bliski apopleksji.

W tym czasie Gnacińscy już znaleźli się w domu swych rodziców. Zanim przyjdzie nowy posterunek, oni pożegnają się z rodzicami i z rodzeństwem ,a potem przedrą się przez kordon, by zaciągnąć się do służby w wojsku polskim.

Pożegnanie było krótkie, a serdeczne. Nikt nie płakał. Nawet matka ,która kochała chłopaków swoich nad życie, błogosławiła synów na drogę, ocierając zwilżone łzami oczy końcem fartucha. Byli przecież tu ciągle w niebezpieczeństwie. Niech idą. Da Bóg, wrócą do domu i spokój zapanuje wszędzie.

— No, matka, czas już w drogę.

— Niemcy lada moment tu przyjdą po nas, — rzecze młodszy, a wy ojciec bądźcie dobrej myśli.

Zasmucił się stary, uściskał synów po kolei. Najdłużej wszakże żegnał pociechę swoją, Augusta. Prawda, że

sąsiedzi nieraz często uskarżali się na tych łobuzów, co to sobie nie dali w kaszę dmuchać i zawsze pierwsi byli do wypitki i wybitki, ale cóż, toć młodzi, krew gotowała się w żyłach junaków. Folgując swemu młodemu temperamentowi Gnacińscy często wychodzili w bory ciemne na zwierza. Osobliwie August zapalonym był myśliwym. Sam w pojedynkę, bywało, ruszał na dzika, krzepki a nieustraszony przy tem strzelec. Żal mu było opuszczać bory, z którymi zżył się, w których czuł się swobodnie, gdzie tyle odniósł triumfów myśliwskich.

— Słuchaj, August — rzekł po chwili stary, — był tu wieczorem Franz, przepomniałem na śmierć.

— I cóż chciał ten pludrak?

— Nie gadaj, dyć to porządne szwabisko, dobry sąsiad. Powiadał, że na jego pola przychodzi okrutnie wielki dzik i robi spustoszenia. Wybiera się jutro na niego.

W oczach Augusta przesunął się pożądliwy błysk.

— I jabym ruszył na tego knura.

— Co ci się przywidziało, nie mamy przecież czasu — wtrącił starszy. — Grenzschutz napewno już nas tropi, uciekajmy, skoro chcemy mieć całe głowy na karku.

— Dobrze, uciekajmy, ale przed tym musimy szwabom wypłatać jakiego figla, jeżeli się nadarzy sposobność — rzecze młodszy.

— Chciałbym jednak przed odjazdem zapolować na tego dzika.

— Oj, żeby cię czasem Grenzschutz nie upolował, — dodał, przeczuwając coś złego ojciec.

— Nic mi się nie stanie! — zlekceważył przestrogę młody Gnaciński.

— A był uparty. Co postanowił, tego dokonać musiał, żeby tam nie wiem co. Gdyby nawet cała armia Hindenburga otoczyła Bory Tucholskie, on i tak na tego dzika musiałby pójść ze strzelbą. Stanęło więc na tym, że starszy pozbiera chłopców, zabierze wszystko złoto, srebro, broń i razem z oddziałem przekradnie się do Wielkopolski, a młodszy Gnaciński pozostanie, żeby jeszcze raz zażyć uciechy polowania. Kto to wie, co ich wszystkich czeka. Trzeba użyć póki jeszcze czas.

Wokół Gnacińskich zebrała się już spora gromada ochotników. Oddział ich, rozsiany po całych borach, mógł liczyć już 400 chłopa. Z tymi wiarusami, zagrzanymi odwagą swoich dowódców i zdecydowanymi na wszystko Gnacińscy mieli zasilić tworzące się na terenie Wielkopolski pułki pomorskie.

Grenzschutz nawet nie przypuszczał, że naraz, jak z pod ziemi, wyrosło tak liczne wojsko polskie w Borach Tucholskich. Dowódca Grenzschutzu przez swoich szpiegów dowiedział się o zamiarach Gnacińskiego przejścia granicy ze złotem i z bronią. Chciwość go wielka owładnęła. Ludzi a zwłaszcza Gnacińskich, przepuściłby chętnie, rąd, że tych diabłów się pozbędzie, ale złoto? A w dodatku treść tego drwiącego listu „króla Augusta" Dla tego też zwołał starszyznę. Radzą. Trzeba zmyć hańbę i sromotę. Rada w radę zdecydowano ruszyć wielką obławą, jakiej dotąd nie było. Ale żołnierze już niechętnie szli szukać śmierci z walecznymi powstańcami. Musiano ich zagrzewać obietnicą wielkich zysków, awansów, nagród. Utworzono oddział kawalerii z ochotników, oddział, któregoby zadaniem było tropić Gnacińskich. Za kawalerią, uzbrojoną w karabiny maszynowe, pójdzie piechota. Poprowadzi wyprawę sam główny komendant Grenzschutzu. Teraz śmierć Polakom. Nie ujdą. Gnacińskiemu przyszykują szubienicę na rynku. Zginie jak pies.

— — — — — — — — — — — — — —

— No i cóż, synku, żal ci opuszczać chatę ojcowską? — tymi słowy tamując własne rozczulenie, zagadnął stary Gnaciński Augusta.

— Co tam żal, — całując na odchodnem matkę w ręce, odparł zagadnięty dość szorstko, jakby stłumić chciał w sobie uczucie goryczy rozstania. I twarde serce tucholskiego zabijaki na chwilę stopniało niby wosk. Idzie, ale czy wróci? Losy życia takie niepewne.

Gdy tak Gnacińscy już żegnali się z sobą, kto wie może na zawsze, nagle ktoś zapukał do drzwi chaty. W izbie naraz zapadła cichość śmiertelna.

— Grenzschutz! — zbladłymi wargami wyszeptała matka. — Gnacińscy stanęli w pogotowiu bojowym. Pukanie do drzwi się powtórzyło.

— Kto tam, do diabła? — nie otwierając drzwi huknął stary.

— Otwórzta, to ja Franz.

— Chwała Ci, Matko Przenajświętsza! — z ulgą w głosie wyrwała się Gnacińska.

Gnaciński odryglował drzwi i, łając przybyłego, że o tak późnej porze niepokoi domowników, wpuścił Franza.

— Cóż wam po nocy, sąsiedzie? Franz, sąsiad Gnacińskich, był to dobry, poczciwy Niemiec, cieszący się sympatią całej rodziny. Zwłaszcza z Augustem łączyła ich wspólna żyłka myśliwska. Często chadzali razem na zwierza, bo

też Franz, jak mało kto znał kryjówki dzików, wiedział gdzie lubią przychodzić rogacze. Lojalny ten Niemiec do polityki się nie mieszał i często w rozmowie sąsiedzkiej potępiał gwałty Grenzschutzu. Mieszkał na uboczu w lasach, mało z kim się wdawał w rozmowy; zajęty na swej roli i myśliwstwem nikomu się nie narażał. To też i Gnacińscy mieli do niego pełne zaufanie. Na pytanie starego Gnacińskiego Franz nie odrazu odpowiedział, popatrzał na młodych Gnacińskich, chciał coś rzec, po czym się cofnął z miną niezdecydowaną a wreszcie spytał:

— Gdzieśta się tak wyrychtowali, co? Idzieta znów wojować? Oj, to nie dobrze może się skończyć. Może już lepiej zaprzestać tego wojowania?

— Tak i ja myślę — chytrze odparł stary — chłopaki już idą stąd precz.

— A gdzież maszerujeta? — spytał Franz Augusta.

— Do swoich, do wojska polskiego.

— Tak, tak do swoich — filozoficznie pokiwał głową Franz.

— Każdy ciągnie do swoich — a potem, jakby zmieniając temat, zwrócił się do młodszego Gnacińskiego:

— Wiecie, August, że wytropiłem ślad rogacza. Ale co to za rogacz, żyję już tyle lat, a takiego nie widziałem. Jutro ze świtem idę na niego.

— To i ja z wami! — nagle wyrwał się August, a w oczach zaświeciły mu skry myśliwskiej pożądliwości.

— Co tobie? — zmitygowała go matka. — Uciekać ci przez granicę, a nie polować.

— Tyś się pewno z głupim widział — dodał ojciec.

— Nie, muszę! — a zwracając się do Franza: — jutro z rana będę u was, to sobie popolujemy.

— Ale przecież nie w tym mundurze pruskiego leutnanta? — zauważył Franz, spoglądając na Gnacińskich poprzebieranych za oficerów Grenzschutzu. — Jakieście do tego przyszli? — zdjęty ciekawością, zapytał.

— Et, długoby o tym gadać — wykręcił się August.

Ale stary Gnaciński lubił się chwalić, gdy chodziło o wyczyny swoich synów, więc za Augusta odrzekł:

— To tak było. Ale usiądźta się, Franz, czego stoicie, zaprosił stary Gnaciński. Gdy sąsiad przysiadł na zydlu, stary — zapaliwszy fajkę, rozpoczął:

— Musieli oni, niby moje chłopaki, przedostać się do Czerska, do jednej dziewczyny, żeby się jej pięknie sprezentować, bez którą o mało wiele dostaliby się nasi w ręce Grenzschutzu. Poszli chłopaki z nią potańcować, śmiejąc się

prawił stary, ale jak się tu pokazać w Czersku, gdy wszędzie Grenzschutz. Więc się przebrali w oficerskie odzienie.

— A skąd je wzięli? — przerwał Franz, zaintrygowany opowieścią.

— A otóż to, skąd wzięli. Nam starym byłoby trudno, ale nie im młodym — z dumą podkreślił ojciec. Mało tych oficerów w Czersku? Więc tak to było, aha — rychtyk mówię. W lasach zjawił się oddział kawalerii Grenzschutzu, wysłany pod komendą dwóch leutnantów na poszukiwanie moich chłopaków. Dowiedziawszy się o tym, wysłałem starą swoją, ażeby chłopaków ostrzegła. A tym tylko w to graj. Jak się dowiedzieli, że kawalerzyści będą w borach, moi chłopcy ze swoimi wiarusami zrobili zasadzkę. Wciągnęli kawalerię w lasy, tak, że zgubiła ona drogę. I dopiero ich ostrzeliwać. Grenzschutz zlazł z koni chciał się ratować każdy na swoją rękę, ale nasi ich otoczyli, broń odebrali, pościągali z nich portki i mundury, rozkazali wleźć na konie w kalesonach i popędzili precz do obozu.

— To nie może być! — zdumiał się Franz.

— Powiadam, że tak było i tak było rzeczywiście. No nie August?

— Tak było — odparł zapytany — ale niech ojciec przestanie, bo trzeba będzie już zbierać się w drogę.

— No to szykujta się. Jazda, komu w drogę, to czas.

— Z Bogiem.

Wstał i Franz żegnając się z gospodarzami. Całe opowiadanie nieprzyjemne na nim wywarło wrażenie. W głębi duszy był przecież Niemcem i ta scena, opowiedziana przez starego z humorem, zraniła go, jako Niemca boleśnie. Pożegnał się za tym z kwaśną miną, ledwo uścisnąwszy rękę gospodarzowi, a na odchodnym rzucił w stronę Augusta przez zęby:

— Also, Herr Gnaciński, jutro na polance ja czekać.

— Dobrze, czekajcie na mnie — odrzekł August.

Gdy Niemiec się oddalił, Gnacińska, jakby tknięta złym przeczuciem, starała się Augustowi wybić z głowy owo polowanie, tłumacząc, że Grenzschutz wszędzie obstawił posterunki, że lada chwila mogą tu przyjść do ich chaty. Poco się narażać niepotrzebnie. Już lepiej uciekać. A i temu Franzowi nie bardzo dobrze jakoś z oczu patrzyło. Czy można dziś ludziom wierzyć? Zawszeć to Niemiec. Prawda, że go tyle lat znają, ale kto wie, w jakiej skórze diabeł siedzi. Pamiętaj, August, że za twoją głowę Grenzschutz wyznaczył wielkie pieniądze! — perswadowała matka.

— Pójdę i basta.

— Chyba nie będziesz tu nocował? — spytał ojciec.
— Jeszcze co, żeby mnie tu nakryli.
— Trzeba już iść — przerwał starszy Gnaciński — za długo coś tu marudzimy. No, bywajcie zdrowi.
— Idźcie z Bogiem — żegnając synów znakiem krzyża świętego — rzekła matka.
Gnacińscy okryci ciemną płachtą nocy pomykali wiadomymi sobie ścieżynami do swej kompanii, która już stała w pełnym rynsztunku gotowa do drogi. Niepokoili się mocno tylko, że coś zbyt długo nie widać ich dowódcy. Ucieszyli się bardzo, gdy Gnaciński się zjawił. Plan wymarszu polegał na tym, że oddział powstańczy pod komendą starszego Gnacińskiego małymi grupami będzie się starał przedrzeć przez kordon, a za granicą mają poczekać na swego dowódcę.
— A może nie chodź do Franza! — nad ranem przy rozstaniu — przestrzega brata starszy Gnaciński.
— Powiedziałem raz i swego nie zmienię.
I wódz rozstał się ze swymi wiarusami, na krótko wprawdzie, na jedną tylko chwilę, ale że ta chwila dla Augusta będzie tragiczna, wiedział o tym Bóg i przeczuwało serce matki.
I prawiekowy bór tucholski swemu „Kmicicowi" w konarach drzew złowieszczą wróżbę poświstywał...
Na wschodzie już pierwsze budziły się brzaski.

— — — — — — — — — — — — — —

Pożegnawszy swoich towarzyszy broni, August ruszył ku zagrodzie Franza.
— A może nie iść, wrócić do swoich i razem z nimi przedrzeć się do wojska? — zastanawiał się August, bo jakieś złe przeczucia zaczęły go prześladować. Po co to wszystko? Przecież to szaleństwo, teraz, w taki czas iść na polowanie, kiedy Niemców wszędzie pełno. Et, głupstwo, tyle razy mogli mnie schwytać i nic. Ale Franz — to przecież Niemiec, może się skusić o nagrodę za moją głowę? — ktoś drugi niewidzialny, a przezorny szeptał śmiałkowi do ucha. Niechby spróbował — nasłać Grenzschutz, pierwszą kulę jemu, a drugą sobie. Zresztą Franz uczciwy Niemiec, tego nie zrobi, tyle przecież dawał dowodów lojalności sąsiedzkiej — rozumował August. I ostatecznie z zamiaru swego nie zrezygnował. Gdyby wrócił teraz do swego oddziału, gotowi pomyśleć, że on ich wódz uląkł się i jego autorytet byłby na szwank narażony. — Niech się dzieje co chce, pójdę na tego rogacza, a może jeszcze jakiego dzika ustrzelę. Niemasz większej rozkoszy nad polowanie.

I raźno August poszedł naprzód, podśpiewując pod nosem. A może tylko nadrabiał fantazją, bo złe przeczucia obsiadły go, jak natrętne muchy.

— Nie wrócisz już więcej. Po śmierć idziesz. Głupi. — Jeszcze czas. Pamiętaj Grenzschutz nie śpi, — mówiło mu coś wewnątrz. Ale Gnaciński na wszelkie głosy rozsądku pozostał głuchy. Już się nie cofnie. Stało się. Zresztą te głosy przestrogi tym więcej podniecały jego przekorną naturę. Lubił prowokować niebezpieczeństwo. Wierzył w swoją gwiazdę, która go tyle już razy wyprowadzała z groźnych zasadzek. Bez przygód życie dla niego nie miałoby uroku.

I nie cofnął się. — Franz już oczekiwał na Gnacińskiego ze sztucerem na miejscu umówionym. Ruszyli naprzód. Rozmowa jakoś się nie kleiła. August wciąż pogwizdywał. Wreszcie, gdy już uszli spory kawałek drogi, Gnaciński spytał: — A gdzie zaczekamy na knura?

— Zaraz tu, na skręcie drogi będzie kartoflisko, gdzie lubi przychodzić. Moi synowie go widzieli jeszcze wczoraj.

Wreszcie przybyli na oznaczone miejsce. Stanęli na czatach, schowani za drzewami. Franz po pewnym czasie zrobił ruch, jakby się chciał oddalić. Augusta coś tchnęło:

— Gdzież to chcecie iść? — spytał towarzysza.

— Poczekajcie tu na mnie — odparł zapytany — ja pójdę zobaczyć w inne miejsce, może kozieł nadejdzie. — Chyba się nie strachacie sami zostać z dzikiem.

— Może ich być i dziesięć! — odparł Gnaciński.

— Trochę cierpliwości, a wnetki przyjdą.

I Franz się oddalił. Dłuższy czas go nie było widać. Nie widać także zwierza. August zaczyna się niecierpliwić. Oparł się o drzewo z którego miał doskonały punkt obserwacyjny na okolicę. Znudziło go już to daremne oczekiwanie. Dzik nie przyjdzie — myślał — szkoda mojego czasu. Zrezygnowany odstawił broń i usiadł na kamieniu i zapalił fajkę. Postanowił czekać jeszcze pół godziny.

Po tym czasie pójdzie stąd sam bez Franza. Niech go kaduk ściśnie, głupiego szwaba — klął wściekły August.

Bór był jeszcze rozespany. Dokoła panowała cichość tajemnicza, mącona chwilami suchym trzaskiem spadających gałęzi. W tej ciszy August słyszał miarowy puls swej skroni. Był zmęczony. Całą noc nie spał. A tej nocy przecież tyle miał wydarzeń: ukaranie zdrajczyni, pożegnanie się z rodzeństwem, wymarsz oddziału. Zdrzemnął się. Był to wszakże czujny sen wilka w kniei. Bo oto — naraz!...

Cóż to? Zwierz? Ktoś idzie? Może Franz? Nie, słuch go nie myli. Jakieś szelesty, jakieś szepty zduszone. Porwał się z kamienia. Błyskawicznie chwyta broń.

— Kto idzie? Franz, to ty?

— Tak, to ja! — odezwał się głos jak echo. I w ślad za nim głuchość leśną rozdarł nagle trzask karabinów.

Gnacińskiemu instynkt wpierw, aniżeli myśl powiedział, że jest osaczony. Strzelił na ślepo. Napróżno. Dokoła już stał Grenzschutz ścisłym murem. Mysz nie przejdzie. Powoli pierścień wrogi zaczyna się zwężać. A on w środku tego pierścienia, oparty szerokimi plecami o dąb rozłożysty, jak dzik osaczony, wyszczerzył zęby w strasznej furii. Szukał Franza okrutnym wzrokiem zemsty. Nikogo nie widział. Nie strzelał. Ołów przeznaczył dla Franza. Cierpiał przeraźliwie nie od ran, ale że pomsty w ostatniej godzinie swego skonania dokonać nie może. Bo Franza nie było. — Skrył się łotr przezornie. Dokonał swego, już jest niepotrzebny. Resztę za niego zrobi Grenzschutz. Gnaciński nie bronił się. Stu na jednego. Więc po co? Niech strzelają w bezbronnego. Atakujący, widząc, że się Gnaciński nie broni, wołają doń: — Poddaj się, rzuć broń.

— Ino mi tu podejdź, to ci się poddam, — zawarczał groźnie.

Ale strach zabobonny przed tym diabłem Gnacińskim nikogo nie mógł ośmielić, żeby się zbliżyć do niego.

— Żywcem brać! nawoływał dowódca Grenzschutzu.

Nie bardzo jednak kwapiono się go brać żywcem, więc rozpoczęto ogień.

— W nogi strzelać! — rozległ się głos komendy.

I niby ten rozłożysty dębczak zwalił się na ziemię Gnaciński, podcięty salwą kul karabinowych.

Powalony na ziemię nie budził strachu.

Podziurawionego kulami, zbroczonego własną krwią, nieprzytomnego z bólu, rzucono na wóz. Ruszono w stronę Czerska. Ale już nie jechał tu „Kmicic Borów Tucholskich". O, nie! Ani to był ów czarnooki junak, za którym rozmiłowane dziewoje szalały. W potarganych łachmanach na wozie spoczywał kawał krwawego mięsa z potrzaskanymi od kul kośćmi. Nieszczęśliwy skowyczał z bólu, bo noga jedna, zwisając z wozu, dostała się pomiędzy szprychy koła. Nie dowieźli jej do Czerska, urwała się. Nie dowieźli też i Gnacińskiego. Po drodze skonał.

EPILOG.

Straszna śmierć Gnacińskiego przejęła do głębi Borowiaków. W obliczu takiej śmierci bohaterskiej zapomina się o wszystkim, a pamięta się o tym, że ten, kto tak ginął, krew swą przelał dla sprawy gromadzkiej, oddał ją dla Ojczyzny.

I królewski zatem pogrzeb zgotowano w Czersku Gnacińskiemu, jakiego najstarsi ludzie nie pamiętali. Chowano go, jak najwyższego dostojnika, którego nikt wprawdzie nie mianował, nikt nie wybierał, ale któremu należał się hołd pośmiertny.

Z głębi Borów Tucholskich Gnaciński jechał zwykłym wozem, znacząc drogę szlakiem swej męczeńskiej krwi, drogę na cmentarz usłały mu dziewczęta w bieli różnobarwnym kwieciem.

Wszystko, co żyło, szło oddać ostatnią posługę „Kmicicowi" Borów Tucholskich.

Kondukt prowadzili księża w szatach liturgicznych. Była to okazała manifestacja uczuć narodowych, manifestacja tak odruchowa i tak imponująca w wyrazie, że nawet Grenzschutz nie śmiał już jej się przeciwstawiać.

Niechby spróbował. Nieustraszony ks. Sowiński z Łęga, przyprowadził kilkuset chłopa na wszystko zdecydowanego, a Polskę kochającego. Więc Niemcy przycichli. Zbliżał się już ich zmierzch.

Odprowadzono doczesne zwłoki Gnacińskiego na cmentarz. Ustawiono mu krzyż. Mogiłę obsypano kwieciem.

Gdy przyszły wojska polskie objąć Pomorze, prawe dziedzictwo Piastów i Jagiellonów, nie zapomniano o tym grobie. Złożono na nim Krzyż Walecznych.

Ucieszył się w grobie Gnaciński, o którym już dziś wielu zapomniało, a o którym nie wszyscy wiedzą. A przecież to takie jeszcze powinno być świeże pamięci naszej.

Ludzie zapomnieli, ale pamiętać będą dzieje i nieraz wspomną o śmiałym junaku, nad którego w ziemię zapadłą mogiłę sąsiednie lasy dzień w dzień szepcą bohaterów kołysankę.

A jeśli i dzieje zapomną, wspominać o nim będzie Tucholskich Borów pamiętliwa legenda.

CZĘŚĆ II

ZBROJNE WALKI POMORZA

W LATACH 1918—1920

(PIERWSZA PRÓBA SYNTEZY)

„Polski lud pomorski spełnił swój dziejowy wobec Ojczyzny obowiązek, zachowując dla Niej polskość prastarej Ziemi Pomorskiej".

Prezydent Rzeczypospolitej
prof. Ignacy Mościcki

CZĘŚĆ II

ZBROJNE WALKI POMORZA

W LATACH 1918—1920

(PIERWSZA PRÓBA SYNTEZY)

„Polski lud pomorski spełnił swój dziejowy wobec Ojczyzny obowiązek, zachowując dla Niej polskość prastarej Ziemi Pomorskiej".

Prezydent Rzeczypospolitej
prof. Ignacy Mościcki

WSTĘP.

Kiedy z oparów najstraszliwszej z wojen zaczynała się wyłaniać nowa Polska, Pomorze jeszcze przygniatała ciężka stopa najeźdźcy. Pomorze w swym oswobodzeniu nie brało tak żywego udziału, jak inne dzielnice kraju i to ze względów zupełnie zrozumiałych.

Historia nic tu jednak nie będzie miała do zarzucenia patriotyzmowi dzielnicy nadmorskiej.

Czy Pomorze, gdy rozgorzało powstanie wielkopolskie, górnośląskie, gdy b. Królestwo porwało się z bronią w ręku, czy Pomorze stało na uboczu tych walk, jako widz bierny, a obojętny? Dlaczego mówi się tyle o powstaniu wielkopolskim czy powstaniu w b. Królestwie, a o powstaniu pomorskim głucho? Czyżby Pomorze nie brało udziału we własnym oswobodzeniu?

Fakty zaprzeczają takiemu zapytaniu. Tych faktów jest mnóstwo, szczegółów o krwawych walkach Pomorzan pełno, tylko nie zebrane w całość, łatwo zaginąć mogą w niepamięci następnych pokoleń. To też praca niniejsza nie roszcząc sobie pretensji, że wyczerpie cały temat bojów Pomorza o swe wyzwolenie w przełomowych latach 1918—1920 chce być poniekąd pierwszym wysiłkiem zebrania w całość walk z poszczególnych terenów Pomorza, ażeby przyszły dziejopis nie błądził po omacku.

Boje Pomorza o swe wyzwolenie mają zupełnie odrębny charakter od walk czy to w Wielkopolsce, bądź też w b. Królestwie. Jeśli tam te boje nazywamy powstaniami, to dlatego, że nosiły one charakter zorganizowanego niejako czynu. Na Pomorzu walki miały cechy odruchowego gestu rozpaczy. — Kiedy tamte dzielnice miały przywódców o błyskawicznej decyzji, to na Pomorzu wprost odwrotnie, dowództwo zalecało zniecierpliwionemu społeczeństwu wyczekiwanie, gdyż, jak mawiano, Traktat Wersalski i tak Pomorze z Gdańskiem przyzna Polsce.

Przeprowadzano dyskusje ze zwolennikami natychmiastowego powstania, a tymczasem Grenzschutz rozwinął krwawy teror. Wielkopolska dawno już walczyła gdy Pomorze czekało. Nie czekały jeno bandy żołnierstwa niemieckiego —

wracające z frontu, nie czekał także Grenzschutz. Palił, rabował, wieszał.

Cierpliwość się jednak przebrała. I Pomorze, sterorycowane bandami Grenzschutzu, odpowiedziało orężnym czynem. Był to ruch zbrojny, krwawy, ale nie było to powstanie przygotowane planowo. Była to już tylko partyzantka. Gdyby nie ten spóźniony czyn, kto wie jakby dziś mapa Pomorza wyglądała.

Pomorzanie tłumnie zasilali szeregi powstańcze innych dzielnic, u siebie zaś prowadzili zbrojną samoobronę polskości i walkę dywersyjną na tyłach nieprzyjaciela.

Jakakolwiek będzie odmienność cech zbrojnego czynu Pomorza w porównaniu z powstaniami innych dzielnic, jeden rys zasadniczy będzie im wspólny: ofiara mienia i krwi i żarliwa tęsknota za Polską zjednoczoną.

Nie dostaliśmy Polski tanio. Ale nic, co wielkie, nie jest łatwe. I oto mamy wielką Ojcowiznę. A w tych olbrzymich dziejach, pisanych krwią narodu, i Pomorze ma bohatersko zapisane stronnice.

ROZDZIAŁ I.

POWSTANIE NA KASZUBACH.

W listopadzie 1918 r. jeszcze nikt na Pomorzu, ani w Poznańskim nie myślał o tym, ażeby drogą rozruchów i przewrotów przyśpieszyć nadejście upragnionej wolności, gdy na Kaszubach, w Kościerzynie, zdarzył się wypadek, który chlubnie powinien być zapisany w dziejach zmagań się energii i ducha polskiego z wrogim najeźdźcą.

W dniu 13 listopada 1918 r. na pierwszym zebraniu ludowym (Volksversammlung) Polacy na miejsce znienawidzonego burmistrza Rumstiega, zażartego hakatysty, wybrali burmistrza Polaka śp. Klemensa Lniskiego, zacnego obywatela i gorącego patriotę.

Nie obeszło się oczywiście bez sprzeciwu. Butny Niemiec, pomimo legalnego wyboru Polaka na to stanowisko, ani myślał ustąpić. Uważał siebie nadal za prawomocnego burmistrza. Sytuacja stała się groźna i pełna napięcia. Kaszubi, widząc taką zawziętość prusaka, przyjęli zdecydowaną postawę, zapowiadając, że jeśli nie ustąpi, to nie biorą odpowiedzialności za dalsze następstwo wypadków. Już wtenczas Kościerzyna wrzała gniewem i lada chwila mógł on przybrać formy dla Niemców niepożądane. Dopiero ta zdecydowana

postawa zmusiła upartego Niemca, że ustąpił i niezwłocznie wyprowadził się do Gdańska, gdzie złożył zażalenie do rejencji gdańskiej.

Rejencja Gdańska, stojąc przed faktem dokonanym, — chcąc nie chcąc — musiała wreszcie zatwierdzić Lniskiego. Fakt ten odbił się głośnym nie tylko na Pomorzu i w Poznańskim, ale także w całych Niemczech, jako groźny zwiastun tej siły, która zaczęła się budzić i hardo spoglądać ku wrogom.

(Zdarzenia te były niejako przygrywką do dalszych wypadków. Kaszubi, zachęceni swym pierwszym zwycięstwem, odniesionym w walce z obcą władza na drodze legalnej, nie zawahali się chwycić za broń, gdy odpowiednia chwila nadeszła. Skoro się zważy, że Kościerzyna wtenczas zdana była na własne siły, i że zewsząd otoczona była wrogiem, doskonale w broń wyposażonym, to cały wypadek o którym niżej piszemy, urasta do szczytów zbiorowego bohaterstwa.)

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

W świetle historycznej prawdy opisywane przez nas zdarzenie tak się przedstawia. Oczywiście Niemcy, widząc taki wzrost sił polskich i że gospodarze tej ziemi pomimo tylewiekowej, systematycznej germanizacji, nie pozwalają sobie narzucić pokostu niemieckiego, poczęli wobec Polaków stosować prawa wyjątkowe, owe słynne ustawy kagańcowe, terorem i szykanami chcąc wymusić posłuch. Dla organizacyj i towarzystw oświatowych polskich nastały czasy pełne udręki i niebezpieczeństwa. Prasa patriotyczna, obywatelska, gospodarcza ogniskowała się w takich instytucjach, jak Bank Ludowy, Rolnik, tow. śpiewu „Halka", „Sokół" i t. d. Polacy zwartym szeregiem skupiali się w tych instytucjach i placówkach, przygotowując stopniowo teren pod przejęcie władzy w mieście i powiecie. O przygotowaniach tych dowiedziała się Rejencja w Gdańsku, na skutek alarmów niemieckich, że w Kościerzynie sposobi się powstanie polskie. Władze niemieckie wysyłają do Kościerzyny silne oddziały Grenzschutzu z dwiema bateriami armat.

Wjazd niemieckiej siły zbrojnej odbył się w samo południe, wśród wyzywających okrzyków i pogróżek Wojsko stanęło na rynku, złożyło broń w kozły, koniom zluźniło popręgi i skierowało dla postrachu armaty na domy spokojnych mieszkańców.

I tu, mimo całej dramatyczności napięcia sytuacji, wydarzył się fakt, który świadczył z jednej strony o brawurowych nastrojach wśród młodzieży kaszubskiej, a z drugiej ośmieszył na długo zarozumiałość i butę pruską.

Nikogo nie dziwiło, że gromadka gapiącej się młodzieży coraz bliżej podsuwała się do biwakującego wojska, a szczególnie do karabinów w kozły złożonych i do armat. Naraz krzyk, kilka minut zamętu i... wszystka broń Grenzschutzu znajduje się w rękach młodzieży, która z czasów wojennych doskonale z nią obyta, zaciąga armaty na wyloty ulic, pędząc przed sobą rozbrojonych Niemców.

W kilka dni Niemcy żądają „kapitulacji“ miasta.

Burmistrz Kościerzyny, Lniski, w odpowiedzi na to wywiesza na ratuszu chorągiew polską.

Faktem jest, i to niech będzie chlubą miasta Kościerzyny, że nie skapitulowała i zdecydowaną postawą doprowadziła do tego, że chorągiew w dniu tym wywieszona przetrwała aż do nadejścia wojsk polskich.

Oto jeden z chlubnych epizodów z walk o niepodległość Pomorza, który Kościerzynę stawia wysoko w rzędzie bohaterskich i pełnych poświęcenia miast, gdy szło o wyzwolenie spod jarzma pruskiego.

Kościerzyna, jako jedno z pierwszych miast pomorskich, zrozumiała, że do upragnionej wolności prowadzi tylko własny czyn zbrojny.

W bojach o swe wyzwolenie Kościerzyna zajmuje specjalną pozycję, jako miasto na wskroś patriotyczne.

Kaszubi umieli nie tylko witać wchodzące wojska polskie, obejmujące w posiadanie starą ziemię Piastów, ale potrafili z nierównie większym zapałem dzień ten przyśpieszyć i przygotować zbrojnym czynem.

O. W. P. na Kaszubach rozwijała się, jak rzadko w którym z powiatów pomorskich. Na czele O. W. P. okręgu kaszubskiego stał Augustyn Szpręga, człowiek wielkiej ofiary i zapału.

Więc naprzód krótka historia Organizacji Wojskowej Pomorza okręgu kaszubskiego. Pierwszym komendantem okręgowym był Bolesław Lipski, późniejszy starosta, który sprawie zbrojnej na Pomorzu oddał znaczne usługi. Po nim obejmuje kierownictwo Augustyn Szpręga. Komendantem powiatu puckiego był Ludwik Połomski, powiatu wejherowskiego Augustyn Czoska, powiatu kartuskiego Franciszek Gliński, komendantem powiatowym na Kościerzynę był Walenty Gałęski, na okolicę Brus — Hołoga.

Z powyższego widać, że organizacją O. W. P. na Kaszubach miała kompletną obsadę i że w tych warunkach można było przeprowadzić nie jedną akcję. To też w krótkim czasie zwerbowano i przetransportowano przez granicę do 1000 ochotników, jako kadry tworzącego się po za granicami Pomorza pułku kaszubskiego.

Nie zaniedbywano prowadzenia agitacji wśród młodzieży kaszubskiej, ażeby ta zasilała szeregi wojska polskiego. Propaganda ta trafiała na specjalnie wdzięczny teren. Młodzież kszubska tak była pełna zapału i gotowości do natychmiastowej walki czynnej, że kilkakrotnie doszłoby do otwartego starcia.

Jak dalece akcja rozwijała się sprężyście, dokładnie i systematycznie, mówi nam o tym fakt, że OWP. na Kaszubach prowadziła dokładne listy ewidencyjne ochotników-Kaszubów, co przecież było wielce niebezpieczne. Łatwo sobie wyobrazić, coby się stało, gdyby taka lista wpadła w ręce Grenzschutzu. Ponadto O. W. P. zajmowała się gromadzeniem broni, materiałów wojennych. To też z chwilą, gdy wojsko polskie objęło Kaszuby, zasilone zostało wielkimi zapasami wszelakiego sprzętu wojskowego, tak potrzebnego młodej armii, tworzącej się z niczego.

Oprócz tych zadań OWP. kaszubska wszystkie swe siły i starania skierowała na to, ażeby zapobiec niszczeniu przez Niemców wszelkich wartościowych obiektów, które stanowiły majątek narodowy. I tylko zdecydowanej postawie Kaszubów zawdzięczyć należy, że te obiekty, jak mosty, magazyny, itd. pozostały nienaruszone i w całości oddane władzom polskim.

Na ostrzejszą prowokację, mimo najszczerszej chęci, nasi wrogowie nie mogli pójść, bo czuli, że w Kościerzynie i w pozostałej Kaszubszczyźnie stoi silna, na mocnym fundamencie oparta zbrojna organizacja O. W. P., konspiracyjnie zmobilizowana i pod bronią. Wśród Niemców rozeszła się nawet wiadomość, że Kaszubi rozporządzają dziesięcioma tysiącami ukrytej broni. Oczywiście, że tych dziesięciu tysięcy karabinów nie było. Ale od czegoż taktyka i strategia wojskowa? Czyż nie bywa tak na wojnie, że jedna kompania, umiejętnie maskując swe ruchy, wywołuje panikę i dezorientację wśród batalionów? Jeśli więc nie było realnej siły, trzeba było stwarzać jej pozory; i te pozory walnie przyczyniały się do utrzymania na Kaszubach Niemców w szachu.

O. W. P. (kaszubska) w swoim wąskim zakresie zrobiła wszystko, co mogła. I napewno, gdyby przyszedł rozkaz z góry, możeby się znalazło owe legendarne dziesięć tysięcy karabinów.

Bo Kaszuby z dawien dawna oddychały polszczyzną. Toć za czasów naszego bytu bezpańswowego, ani razu z ziemi kaszubskiej nie przeszedł do parlamentu Rzeszy poseł Niemiec. Zawsze Polak. Jakaż ponad to może być lepsza legitymacja polskości tych synów ziemi przymorskiej, którym

wmawia się jakość odrębność szczepową? Albo, jak za czasów zaborczych wmawiano, że Kaszubi są szczepem rasy germańskiej. Na nic mędrkowanie. Wypadki mówią. A mówią przekonywująco.

Jeżeli szerzej nieco namalowaliśmy tło psychicznego nastawienia duszy ludu kaszubskiego, to dlatego, ażeby tem wyraziściej wystąpił wspaniały obraz kościerskiego czynu.

ROZDZIAŁ III.

ZBROJNA LUBAWA CZEKA NA HASŁO DO POWSTANIA.

Powiat lubawski w dziejach wysiłków o odzyskanie utraconej wolności zdobył sobie poczesne miejsce w przełomowych latach 1918-19, kiedy to wszelka myśl o ruchu zbrojnym na Pomorzu wydawała się szaleństwem. A mimo to garstka patriotów, w przewidywaniu tej godziny, która nadejść miała, rzuca na szale swe bezpieczeństwo, spokój, ażeby tę godzinę wolności przyspieszyć i wywalczyć Pomorzu inne granice, aniżeli zakreślał Tratkat Wersalski, będący w stosunku do Pomorza wypadkową kompromisów i przetargów, a nie realnym rachunkiem, opartym na szerokich prawach naszych do tej prastarej ziemi nadbałtyckiej.

Jeśli chodzi o spełnienie swej powinności patriotycznej, powiat lubawski wychodzi czysty i rozgrzeszony przez historię. Robiono tu co tylko w tych warunkach, jakie istniały, zrobić było można. Zrobiono nawet więcej, ponad oczekiwanie.

A sprawa w świetle istotnego stanu rzeczy tak się przedstawiała. Powiat lubawski zdawien dawna był najbardziej polskim powiatem na Pomorzu; ściślej mówiąc, najmniej zniemczonym. Lud tutejszy trzymał się zwartą gromadą, do wiary swych przodków silnie przywiązany. Tradycja polskości wkorzeniła się tu całymi stuleciami.

Gdy po wybuchu powstania wielkopolskiego, pękały już okowy .zaczęto i w Lubawie myśleć poważnie, o przygotowaniu zbrojnych oddziałów, któreby przepędziły Grenzschutz, a w razie potrzeby ruszyły dalej, na pomoc słabszym pozycjom.

Powstanie wielkopolskie zdezorientowało wojska niemieckie, przebywające na Pomorzu. Dowództwo ich potraciło głowy, obawiając się, że lada chwila i Pomorze chwyci za

karabin. W dodatku Lubawa nie była zbytnio obsadzona wojskami niemieckimi, a ponadto oprócz powstania wielkopolskiego również i rewolucja berlińska przyczyniła się do dezorientacji wojsk niemieckich na Pomorzu. Rozważywszy dobrze ten sprzyjający moment, obywatele lubawscy na czele z aptekarzem Stanisławem Wolskim, synem powstańca z 63 roku, i kierownikiem „Rolnika“ Józefem Sierszeńskim zdecydowali się na krok stanowczy.

W styczniu 1919 r. na tajnym zebraniu w mieszkaniu Stanisława Wolskiego, gdzie obecni byli kupiec Franciszek Hamerski, Bolesław Szczuka, wydawca i redaktor „Głosu Lubawskiego“ i wielu innych — postanowiono zwerbować ochotników i poczynić wstępne plany, ażeby na dany znak rzucić się do walki zbrojnej. Odbywały się częste zebrania a na każdym następnym liczba sprzysiężonych rosła. Do akcji tej wciągnięto już „Sokoła“. Ci byli pierwszymi ochotnikami. Do nich zaliczyć trzeba: Jana Cieszyńskiego, Jana Chorągiewskiego, Józefa Asta, którzy po złożeniu przysięgi, mieli się zająć dalszą akcją werbunkową wśród młodzieży tak z miasta, jak i okolicy.

Gdy organizacja spiskowców była w pełnym toku swego działania, zwrócono się potajemnie do obywatela ziemskiego Bolesława Ossowskiego z Montowa, który działał z ramienia O. W. P., ażeby nawiązać łączność organizacyjną z całą organizacją powstańczą Pomorza.

Zapał wśród spiskowców był ogromny. Nocami zbierano się poza miastem i tam ćwiczono i rozdawano sobie broń. Jak dalece wszystko było przygotowane do wybuchu, świadczy to, że powstańcy zgromadzili się, zachowując czujną ostrożność, w kościele, ażeby wyspowiadać się komunikować i otrzymać błogosławieństwo z rąk kapłana. Nie wiedziano bowiem ani dnia ani godziny, kiedy płomień walki miał ogarnąć całą ziemię pomorską. I gdy jedni ćwiczyli, będąc w pogotowiu, inni przeprowadzali wywiad wśród wojska niemieckiego.

Z pozyskanych wiadomości wynikało, że załoga niemiecka nie jest zbyt liczna, natomiast zapasy broni i amunicji w Lubawie były znaczne, a w dodatku źle strzeżone, tak, że zawładnięcie materiałem wojennym nie nastręczałoby zbyt wielkich trudności.

Zebrawszy te wszystkie dane dzięki poświęceniu i bohaterstwu ludzi gotowych na wszystko, Lubawska Rada Powiatowa przemieniła się w sztab organizacji powstańczej. W mieszkaniu Wolskiego, które było miejscem sprzysiężenia, wygotowano drobiazgowy plan, że z chwilą otrzymania roz-

kazów z góry, poszczególne oddziały miały równocześnie napaść i rozbroić warty wojska niemieckiego w Magistracie, na poczcie, na stacji kolejowej, oraz przy wszystkich składach broni i amunicji.

Rozumowano słusznie, że skoro powstańcom uda się opanować miasto, wtedy cała ludność polska powiatu, zagrzana walką, rzuci się na znienawidzonego wroga.

Przez urządzenie ruchawki na tyłach Grenzschutzu, lubawiacy znacznieby odciążyli sąsiednie powiaty od sił nieprzyjacielskich.

O ile chodzi o broń i amunicję, to powiat lubawski mógł by dostarczyć wszelakiego ekwipunku bojowego pod dostatkiem. W akcji gromadzenia broni wielce byli czynni Ludwicki, Gęstwicki, Swinarski, dr. Wachowski. Wszyscy z narażeniem własnego życia pracowali dla wielkiej idei zbrojnego czynu.

Niestety, zamiast rozkazu do broni, przyszedł rozkaz od Bolesława Ossowskiego, powołujący się na rozkazy wyższe, ażeby wstrzymano się od wszelkiej akcji zaczepnej.

Karne społeczeństwo lubawskie, mimo powszechnego zapału, podporządkowało się rozkazowi. Pochowano broń, czekając lepszego momentu. Ale moment szczęśliwszy nie przyszedł. Niemcy się zorientowali, o co chodzi i byli już czujniejsi. Wzocnili straże, rozwinęli teror w stosunku do tych, których podejrzewali o spisek.

Nastąpiły aresztowania przywódców ruchu zbrojnego w Lubawie, a cała ludność żyła w wiecznym strachu, nie pewna życia ani mienia. Grenzschutz szalał. Rewizje, szykany, bicia i groźby stłumiły spisek lubawski w zarodku. Dopiero dzień 19 stycznia 1920 r. przyniósł lubawiakom upragnioną wolność.

ROZDZIAŁ IV.

CHEŁMNO W OKOWACH UCISKU GRENZSCHUTZU.

Maj i czerwiec 1919 r. były dla Chełmna ciężkim w przeżycia okresem.

Władze niemieckie, ochłonąwszy z pierwszego przestrachu rewolucją berlińską, przystąpiły do swych dawnych praktyk antypolskich.

Ludność niemiecka przyjmuje groźną wobec Polaków postawę; urządza częste wiece, wysyła protesty, że nie chce

należeć do Polski: w rezolucjach wiecowych głoszą, że do ostatniego tchu będą bronili ziemi „praniemieckiej". Przywódca niemieckich „Volksratów" Cleinow wzywa nawet do krwawej rzezi Polaków. Niemcy chełmińscy uzbrajają się. Po gazetach i na zebraniach nawołują do wstępowania na ochotnika do Grenzschutzu. W mieście i powiecie tworzą się t. zw. Regrostkompagnien. Uzbrajają się i ćwiczą we władaniu bronią palną, urządzają wycieczki za miasto, i demonstrują swoje pogotowie bojowe.

To wytworzyło atmosferę parną i pełną niepokoju wśród polskiej ludności cywilnej, która spokojnie oczekiwała na ratyfikację traktatu wersalskiego.

I gdy dnia 9 maja 1919 roku wręczono Niemcom w Paryżu warunki pokoju, stało się już pewnym, że Chełmno oraz całe Pomorze wrócą na łono Ojczyzny.

Ogłoszenie i wręczenie warunków pokojowych Niemcom w Paryżu wywołało w Chełmnie olbrzymią falę protestów ze strony ludności niemieckiej. Gdy dotąd jeszcze się łudzili zmianą karty losu, to teraz nic już nie odmieni sprawiedliwych przeznaczeń dziejów. Zawrzały gniewem i oburzeniem socjalistyczne rządy Scheidemanna w Berlinie, a jako odgłos tego ponowiły się masowe zebrania protestacyjne. Coraz prowokacyjniej poczyna sobie „Regrostkompagnien". A w obawie, że sami nie zdzierżą polskiej sile, Niemcy chełmińscy wzywają do pomocy oddziały Grenzschutzu i wojska wracające z Kurlandii. Tak wzmożeni na siłach, paradują na rynku chełmińskim, a dla zastraszenia ludności polskiej wystawiają ostentacyjnie kulomioty i armaty. Zaroiło się od chorągwi dawniejszych pruskich i niemieckich czarno-białych i czarno-biało-czerwonych. Demonstranci urządzają pochody z pieśniami na ustach „Ich bin ein Preusse", albo „Heil dir im Siegerkranz", wyszydzając i obrażając uczucia narodowe Polaków.

Mimo tak pokaźnej siły i takich triumfalnych okrzyków Niemcy jednak podszyci byli strachem niepewności. A nuż i Polacy mają w ukryciu broń? Co wtedy?

Więc plądruje Grenzschutz po domach spokojnych obywateli polskich. Gdziekolwiek znaleźli obrazy o treści patriotycznej, narodowej, niszczyli je z zapamiętałą wściekłością, znęcając się nad mieszkańcami. Akty gwałtu i teroru potęgują się coraz silniej. Na ulicy zdzierano młodzieży oznaki biało-czerwone, dziewczętom wyrywano nawet z uszu kolczyki, nocami niepokojono działaczy polskich wybijaniem szyb, strzelaniem na postrach itd. Prowokacja Grenzschutzu święciła swe dzikie orgie.

Ludność polska przetrzymała wszystko. Powiatowa Ra-

da Ludowa, na której czele stał adwokat dr. Ossowski, nawoływało do spokoju. Nawykła do dyscypliny społecznej, ludność pomorska nie dała się sprowokować.

Zuchwalstwo Grenzschutzu zaczęło już ciążyć nawet niemieckim władzom cywilnym. Gdy obrabowano Polaków ze wszystkiego, co było do wzięcia, żołdactwo zabrało się już do bogatszych niemieckich obywateli ziemskich w powiecie. Obywatele niemieccy spostrzegli, że ta siła brutalna i nieokiełznana zaczyna już zwracać przeciw nim. To też większość rozważnych Niemców nawoływała do spokoju.

Czy Chełmno jednak nie miało tajnej organizacji zbrojnej? Owszem, organizacja ta tak się przedstawiała:

Obok Powiatowej Rady Ludowej w Chełmnie istniała tajna organizacja t. zw. O. W. P. Organizatorem tej konspiracyjnej siły zbrojnej był śp. dr. Bogusławski, który konsekwentnie stał na stanowisku potrzeby rozwoju ruchu powstańczego na Pomorzu i do tych zadań przygotowywał zapalne szeregi, jak i pozyskiwał ludzi ospałych i niezdecydowanych. Organizacja ta pracowała systemem dziesiątkowym, który polegał na tym, że każdorazowo tylko dziesięciu spiskowców wraz z dowódcą było wtajemniczonych w pracę organizacyjną. Ustalono, że na sygnał farnego dzwonu kościelnego oddziały powinny stanąć na oznaczone miejsce alarmowe.

Plan zbrojny z ogólnych zarysach opracowany był w ten sposób: przede wszystkim, z chwilą sygnału alarmowego, rzucić się na żołnierzy niemieckich i ich rozbroić. To zadanie miała wykonać młodzież; starsi po 40 roku życia powinni byli obsadzić garnizony i wszelkie urzędy, a więc: pocztę i dworzec. Po dokonaniu tego, powstańcze siły szturmowe obowiązane były nawiązać łączność z powstańcami ze Świecia, Tucholi, Nowegomiasta i Chojnic. Tak połączone siły miały za zadanie zmierzać ku Nakłu, okrążając w ten sposób Bydgoszcz ażeby tu rozbroić niemieckie garnizony wspólnie z miejscową luddnością i przyłączyć całe Pomorze do wolnego już Księstwa Poznańskiego.

Ten plan jak twierdzą współcześni, mógłby się udać z uwagi na to, że żołnierz niemiecki był już zdemoralizowany, a w oddziałach konspiracyjnych duch panował bohaterski.

Że liczono się poważnie z wykonaniem tej ofensywy, świadczy o tym stałe pogotowie bojowe spiskowców, czekających tylko na rozkazy, ażeby roznieść po Pomorzu żagiew powstańczego hasła.

Rozkaz z nikąd nie nadchodził, a gdy zaczęły powracać z frontów wojny światowej wojska niemieckie do swych gar-

niznnów ,wtenczas wszelka myśl o powstaniu była już tylko zgubnym szaleństwem.

Organizacja Wojskowa Pomorza zrezygnowawszy z szeroko zakrojonego planu ofensywy, nie poniechała innej, również odpowiedzialnej i wymagającej wielkiego poświęcenia akcji samoobrony, polegającej na utrzymaniu pogotowia, dla obrony świątyń przed łupieskim Grenzschutzem, zaciągano posterunki przed domami działaczy, którym groziła śmierć z rąk żołdactwa.

Do wewnętrznej służby milicyjnej ludność polska wstępowała ochoczo. Niezależnie od tego specjalny wywiad O. W. P. stale był w kontakcie z wojskiem polskim przez swych wywiadowców. Wywiad był znakomicię zorganizowany. Na jego czele stał ppor. wojsk polskich Ciesielski, występujący pod pseudonimem Johann Zimmerman, Klempnergeselle aus Culm, zamieszkały w Chełmnie w Hotelu Centralnym. Wywiad ten informował wojska polskie dokładnie o wszelkich poczynaniach wroga, jego sile, poruszaniu się i zbrojeniu. Było to konieczne, albowiem dowódcy wojsk niemieckich odgrażali się, że pomimo traktatu, Pomorza nie oddazą.

Ciekawy jest sposób, w jaki por. Ciesielski otrzymał dokumenty na nazwisko lojalnego obywatela niemieckiej ojczyzny. Wykaz taki wystawił ppor. Ciesielskiemu ówczesny urzędnik policyjny Bronisław Szczygielski, który go podstępnie podsunął do podpisu st. wachmistrzowi policji Niemcowi Wagnerowi, zaciekłemu hakatyście. Dzięki takiemu dokumentowi Ciesielski poruszał się w mieście z całą swobodą, a sprytem swoim zdziałał tyle, że Niemcy mieli go jakby za swego zaufanego. Nie mogąc wszystkiego sam dokonać, Ciesielski przybiera sobie do pomocy ówczesnego naczelnika Sokoła, dekarza Grzywaczewskiego Franciszka oraz mistrza zduńskiego Franciszka Dobrzalskiego. W miarę sił i możności pomagał również tej trójce długoletni naczelnik Sokoła Świtalski.

Powyższa trójka, zdecydowanych na wszystko wywiadowców, dokonywała po prostu cudów odwagi. Każdej chwili groziła im śmierć, gdyby zostali zdemaskowani. A mimo to, pod pozorem, że się chcą, jako dobrzy Niemcy patrioci, zaciągnąć do Grenzschutzu, względnie Heimatsschutzu, docierali do najpierwszych linij bojowych. Bystremu ich spojrzeniu i uwadze nie uszło nic, co było godne do zanotowania i wyzyskania dla naszych celów. Niejedną noc spędzili na cmentarzu, gdzie mogli się spokojnie, przez nikogo nie śledzeni, spotykać i przygotowywać plany dla swych brawurowych wyczynów.

Na polu ruchu niepodległościowego w Chełmnie i okoli-

cy niemałe okazali zasługi śp. Wawrzyniak Stanisław, śp. Arczyński, śp. Franciszek Winiarski, ten ostatni zasilał niezamożnych ochotników polskich gotówką na podróż do formacyj polskich, Śląski Jan, Bernard Szupryczyński, Badziąg Alojzy, Stanisław Skalmierski, Jan Jakubowski, Antoni Kufel, Jan Szupryczyński i wielu innych.

Nareszcie dnia 28 czerwca Niemcy podpisały traktat pokojowy w Wersalu. Grenzschutz wycofał się z Chełmna w kierunku Torunia.

W dniu 22 stycznia 1920 r. nad starożytnym ratuszem chełmińskim powiewał dumnie sztandar Rzeczypospolitej.

ROZDZIAŁ V.

Z KRWAWYCH DNI CHEŁMŻY.

Po bezprzykładnym w dziejach ludzkości pogromie niemieckiej potęgi, w ostatniej, najstraszliwszej z wojen światowych, wracały bezładne masy zdemoralizowanego żołdactwa germańskiego do swych domów. Wojna skończona. Ale nie dla wszystkich. Chwilę tej dezorientacji, wyzyskują kondotierzy, łaknący łupów oraz sławy.

Na czele grupy rozbitków, zbirów, najemników i włóczęgów, którym wojna już przytułku nie dawała, staje Rossbach. On to, potworny dręczyciel spokojnej ludności polskiej, skupia wokół siebie oddział ochotniczy, liczący około 500 żołdaków i dnia 28 stycznia 1919 roku wyrusza na podbój Chełmży, która już oddycha nadzieją rychłego powrotu pod wspólny dach polskiej ojcowizny. Idzie stłumić bunt polskich patriotów, jak sam się chwali w swoich pamiętnikach, i jednocześnie zaprotestować przeciwko decyzji zwycięskich sprzymierzeńców co do losów Pomorza.

Straszne wówczas dni przeżywała Chełmża, będąc przez rok cały pod okupacją tego zbira, ziejącego oszalałą nienawiścią do wszystkiego, co polskie.

I oto wczesnym rankiem dnia 28 stycznia na czele doskonale uzbrojonego oddziału szturmowego Rossbach podsuwa się pod Chełmżę. Idzie na pomoc uciśnionym Niemcom, w obronie ich przed polskim pogromem *).

Oczywiście nikt ze strony spokojnych, chełmyńskich, ani okolicznych obywateli nie myślał o czymś podobnym. Pogło-

*) Sturmabteilung Rossbach. Str. 28.

skę tę rozkolportowali sami hakatyści ze strachu. Te pogłoski dogadzały Rossbachowi, gdyż w oczach niemieckiej ludności wyrastał do rozmiarów zbawcy i bohatera. Właściwą pobudką jego działania była chęć grabieży. Awanturnik ten bowiem nie miał w sobie nic z bohatera. Okrucieństwo, buta, pycha zazwyczaj idą w parze z tchórzostwem. I w zasadzie Rossbach był zdecydowanym tchórzem. Napotkawszy opór, uciekał w popłochu, tracąc głowę. Okazałe dowody swego tchórzostwa dał w czasie walk o Chełmżę.

Krwawe wypadki w Chełmży tak się rozwijały:

W dniu 28 stycznia około godz. 11 przed Magistrat miasta Chełmży zajechało auto. W Magistracie obradowała wówczas Rada Żołnierzy i Robotników, złożona z Polaków i Niemców.

W trakcie obrad zjawia się na salę posiedzeń Rossbach ze swym adiutantem i w kategorycznych słowach żąda oddania w jego ręce miasta, grożąc, że jeśli rozkazu nie usłuchają, oddziały jego wojska, stacjonowane o kilka minut drogi, zaczną Chełmżę bombardować. Zebrani w Magistracie, co rozważniejsi Niemcy tłumaczą mu, że nie zachodzi potrzeba obsadzenia wojskiem spokojnej Chełmży, że to byłoby prowokacją polskiej ludności i łatwo mogłoby wywołać niepokój, a nawet oburzenie. Ale Rossbach nie dał sobie wyperswadować, powołując się na rozkaz dowództwa dywizji, gdyż — jak z uporem twierdził, — Niemcom tutejszym grozi pogrom, a ponadto Niemcy nie mogą dopuścić do oddania Polsce Pomorza, chyba, że je Koalicja i Polacy wezmą po trupach niemieckich żołnierzy i niemieckich patriotów.

W chwili, gdy się odbywają pertraktacje w sali posiedzeń, przed autem Rossbacha, którego pilnowało kilku uzbrojonych żołdaków Grenzschutzu, zaczęła się skupiać ludność miejska w przeczuciu czegoś niesamowitego. Lotem błyskawicy rozbiegła się po mieście wieść trwożna, że oddziały doskonale uzbrojonego Grenzschutzu stoją w pogotowiu w odległości 5 km od Chełmży, między majątkiem Pluskowęsy a wsią Kuchnią i że mają na rozkaz Rossbacha wyruszyć ku miastu, celem jego zajęcia, a w razie oporu zbombardować.

Takie wieści zelektryzowały chełmżyniaków. To było sygnałem do zbrojnej walki.

Nietrwożne serca polskie zabiły żywiej, a młodzież zapalna, duchem walecznym podniecona, za broń chwyciła.

Gdy tak Rossbach pertraktuje w sali posiedzeń Rady Miejskiej, a właściwie narzuca swoją wolę, oświadczając, że od dzisiejszego dnia przestaje istnieć Rada Żołnierzy i Robotników, gdyż on, Rossbach, jest tu panem, — przed Ratuszem

skupia się gromada chwackiej młodzieży polskiej, raptem otacza ciasnym pierścieniem samochód Rossbacha i niby interesując się jego marką, wdając się w pogawędkę, aż naraz Niemcy widzą z niepokojem, że coś tłum rośnie. Z postawy i ze spojrzenia widać, że nie przywiodła te masy przed gmach ratusza prosta ciekawość uliczna.

Jeden z żołnierzy Rossbacha, przeczuwając coś niedobrego, nakazuje się gromadzie rozejść. Ale już za późno. — W tej chwili gromada młodzieńców, chłopaczków, a nawet dorosłych mężczyzn rzuca się na auto, w mig obezwładnia żołnierzy i odbiera im karabiny. Stało się to błyskawicznie. W tym pada strzał! Zapewne to wystrzelił któryś z przestraszonych żołnierzy, alarmując tym swego wodza, przebywającego w ratuszu. Na odgłos strzału Rossbach wypada na ulicę. Zapóźno. Grenzschutz bez broni.

Rossbach dufny jeszcze w swą siłę, gdyż za Chełmżą stoją jego oddziały, na każde skinienie gotowe przystąpić do bombardowania miasta, pieniąc się ze złości i wymyślając od „Verfluchte Polacken", grozi, że jeśli nie oddadzą dobrowolnie jego żołnierzom karabinów i auta, z miasta nie pozostanie kamień na kamieniu.

Ale nasi, mając broń, poczuli się już pewniejsi. Postawa tłumu zaczyna się szybko przekształcać w zorganizowane szyki bojowe. Niejeden przecież wrócił dopiero z wojska. Ktoś ze starszych obejmuje nawet komendę. Rossbach, pieniąc się ze złości, doskakuje do jednego z chłopców i chce mu wyrwać karabin z ręki, ale dzielny junak momentalnie szeroką swą dłonią ździelił go tak zamaszyście raz i drugi po twarzy, że Rossbach potoczył się jak pijany. Zawrzała bójka. W ogólnym zamęcie poszarpano dowódcy Grenzschutzu ubranie, zdarto mu szlify oficerskie. Rossbach cały w łachmanach i poturbowany, śmieszny przedstawiał widok.

— Naprzód chłopcy, bić psubratów! — słychać głos komendy.

— Przepędzić pludraków do Vaterlandu, nie damy polskiej ziemi! — odzywają się głosy zachęty do walki. Znalazły się też i głosy trzeźwiejsze, zalecając spokój. Ale młodzież nie słuchała i mocno w garści dzierżyła zdobyte karabiny. Niejeden skoczył do domu, bądź do ogrodu, gdzie ukrył „mausera", „zafasowanego" na wojnie, lepszych czekając czasów.

— Nie strzelać! — słychać głosy, ale już niejeden repetuje zamek karabinu.

— Żywcem brać, przydadzą się nam — ktoś dorzuca. Uczynił się tumult.

Cała Chełmża zamieniła się w obóz wojenny. Nastał sąd-

ny dzień. Starsi z niepokojem patrzyli, co będzie jutro, bo cóż znaczy garstka tych młokosów? Młodzież jednak żyła triumfem chwili i gotowa byłaby się rzucić z gołymi pięściami na całe pułki, dywizje nieprzyjacielskie.

Niestety, w zamieszaniu, jakie powstało, Rossbach gdzieś znikł.

— Szukać Rossbacha! — Gdzie on? — wołają.

— Nie puszczać go. — Szukać go chłopcy!

Żołnierzom Grenzschutzu powiązano ręce i osadzono w prowizorycznym więzieniu, w piwnicy ratuszowej.

Wnet znaleziono i Rossbacha, bladego ze strachu, ukrytego w sieni pobliskiego domu. Aresztowanego prowadzą do piwnicy. Lecz niestety w niewyjaśniony dotychczas sposób zdołał się wymknąć i uciec do swego oddziału, stacjonującego o kilka kilometrów za Chełmżą.

Według jednej wersji, i to zdaje się najbardziej zasługującej na wiarę, któryś z usłużnych landsmanów dał Rossbachowi czapkę zwykłego szeregowca i takiż mundur, wypuszczając więźnia tylnym wyjściem na ulicę Szewską. Ustalić dziś fakty wobec ogólnego tumultu i zamieszania, jakie się wtenczas utworzyło, jest niezmiernie trudno. Faktem jest, że Rossbach uciekł przy czyjejś pomocy.

Więzień wydostawszy się na wolność, pędził co tchu pieszo w stronę oddalonej wsi Kuchni (gdyż samochód został zarekwirowany), gdzie stały pierwsze jego patrole, gotując się do krwawej zemsty.

A tymczasem nasi powstańcy, zawładnąwszy samochodem, wyruszyli uzbrojeni na patrol. Na trzecim kilometrze za Chełmżą patrol polski natknął się na posuwające się straże niemieckie, które przywitały powstańców ogniem karabinów maszynowych. W utarczce tej poległ pierwszy bojownik o wolność Chełmży śp. Jan Szczypiorski, lat 25, ugodzony kulą w piersi.

Wobec przeważającej siły nieprzyjacielskiej, nasz oddział, składający się zaledwie z 10 powstańców, musiał się cofnąć. Przednia straż Grenzschutzu liczyła kilkudziesięciu świetnie uzbrojonych żołnierzy. Porażka naszego patrolu, odbywającego wywiad otwartym samochodem, była nie uniknioną, to też powstańcy musieli zawrócić, nie zdążywszy zabrać Szczypiorskiego, który, wijąc się z bólu dokonał żywota w rowie przydrożnym. Przechodzące obok jęczącego z bólu powstańca oddziały Grenzschutzu nie udzieliły mu pomocy, naigrawając się jeszcze z ofiary, aż dopiero litościwa śmierć uwolniła go od okrutnych cierpień.

Do niewoli dostało się trzech powstańców, których los był zgóry przesądzony.

Mimo pierwszej porażki, duch w polskich szeregach nie słabnie. Chełmża poczyna organizować obronę. Powstają oddziały. Rusza się wieś na pomoc ginącym braciom. Kto był zdrów, a miał jakąkolwiek broń, zaciągał się do szeregów powstańczych. Miasto zaczynało się sposobić do obrony, gdyż posuwające się bandy Grenzschutzu niosły Chełmży pożogę zemsty.

Poczęto gorączkowo przygotowywać się do odparcia ataku. Wiedziano bowiem dobrze, że Rossbach, którego spotkała w Chełmży taka konfuzja, z chwilą wejścia do miasta, będzie się mścił okrutnie. Żołdak ten, rozbestwiony w światowej wojnie na krwawych polach Belgii i Francji, nie pozostawi kamienia na kamieniu.

Utworzone w oka mgnieniu kompanie polskie, które choć źle i niedostatecznie uzbrojone, okopawszy się, zajęły przed miastem pozycje obronne pod dowództwem por. Michalskiego, w pobliżu parku 3 Maja. Drugi oddział pod kierunkiem Komuńskiego usadowił się na cmentarzu, trzeci zaś miał rozkaz udania się przez teren majątku Strużal, aby zajść nieprzyjacielowi drogę z flanki.

Rossbach, widząc gorączkowe przygotowania Polaków do obrony, wydał rozkaz bombardowania miasta. Strzały padły na teren szpitala, w pobliżu szkół w środek miasta. Pod ogniem kulomiotów i miotaczy min oddziały polskie musiały się cofnąć z zajętych pozycyj i rozpoczęły przygotowania do walki ulicznej. Ale wszelki opór byłby już po prostu szaleństwem garstki powstańców bez amunicji, bez dowództwa.

Rossbach wkroczył do miasta, waląc na oślep, ogłuszającymi strzałami armatnimi.

W jednej chwili miasto jakby wymarło. Ludność skryła się gdzie mogła. W tym pamiętnym krwawym boju oprócz Jana Szczypiorskiego zginęli: Antoni Kiełbasiewicz, lat 28; Franciszek Rosiński, lat 48; Weronika Żurawska, lat 19; Alfons Wiliński, lat 8; Edward Zieliński, lat 28. W kilka dni później, wskutek ran odniesionych umarł uczeń szkolny Kazimierz Lewandowski, lat 12. Pokaźna była też liczba rannych.

Charakterystyczne, jak podają naoczni świadkowie, — w strzelaninie ulicznej do oddziałów Grenzschutzu brali udział niektórzy Niemcy, lojalni obywatele miasta, których oburzały gwałty Rossbacha. Były to wszakże zaszczytne wyjątki.

Rossbach, opanowawszy miasto, rozpoczął teroryzować Polaków; rewizje, aresztowania, szykany na każdym kroku. Wdzierano się do mieszkań obywateli nocą w poszukiwaniu

broni. Aresztowano kilkunastu obywateli jako zakładników: M. Grabowskiego, śp. Kwiecińskiego, śp. Bilskiego, T. Cymbrowskiego, dr. Górskiego, ks. Wryczę, śp. T. Rochona, J. Janiszewskiego, których odstawiono do więzienia w Grudziądzu. Chełmża została zamieniona w obóz warowny. U wylotów i na skrzyżowaniu ulic ustawiono kulomioty. W czasie owych rewizyj żołdactwo pruskie kradło co się tylko dało. Za pierwszą partią aresztowanych zakładników, nastąpiły dalsze. Osadzono w więzieniu: Bronisława Kurzętkowskiego, Strzeleckiego Stanisława, Gogę Leonarda. I aby zastraszyć Polaków, ogłoszono, że za każdego zabitego żołnierza niemieckiego powieszą trzech polskich zakładników.

Na usilne starania dwóch szlachetnych Niemców, burmistrza Hartwicha i landrata dr. Kleemanna z Torunia, uwalniają z więzienia Kwiecińskiego, polecając mu, aby swego wpływu i powagi użył na uspokojenie wzburzonych polskich obywateli.

W dramatycznych warunkach nastąpiło aresztowanie dra Stanisława Pilatowskiego. Grenzschutz, oskarżając go o zdradę stanu, wywlekł ciężko chorego z łóżka i trzymał go przez półtora tygodnia w zimnej celi więziennej.

Po załatwieniu się z zakładnikami, Rossbach zamierzał urządzić brankę młodzieńców od lat 16, aby ich włączyć w swe szeregi. Dowiedziawszy się o tym młodzież, ciemnymi nocami przekradała się do b. Kongresówki, zaciągając się stamtąd do oddziałów tworzących się pułków pomorskich w Wielkopolsce.

Jak dalece posuwali się Niemcy w swym terorze dowodzi fakt, że żołdacy Grenzschutzu nie oszczędzali nawet świątyni. Wdarłszy się do katedry, przeszukali całą dolną część kościoła, salę obrad kapitularnych, znajdującą się nad zakrystią, rozkopano nawet pod konfesjonałami posadzkę, aby odnaleźć tajemne wejście do składnicy broni; w podziemiach odbijali trumny spoczywających od setek lat nieboszczyków. Nie darowali nawet klasztorowi sióstr Elżbietanek, nocą przeprowadzając tam rewizję.

Szczytem bestialstwa było wtargnięcie do grobów cmentarnych. Pootwierano trumny i nawet pod spoczywającymi zwłokami szukano broni.

Rossbach szalał z wściekłości, bowiem broni nigdzie nie znaleziono, co napawało tego tchórza strachem. A nuż Polacy tak świetnie ją zamaskowali! Tchórzostwo Rossbacha było wprost chorobliwe. Tak na przykład hukanie sowy na wieży kościelnej, które to ptaki masowo się tam gnieździły, uważał za tajemne hasło Polaków, a drut od gromochronu na tej-

że wieży za zamaskowany przewód podziemny, łączący Chełmżę z armią polską w Poznańskim.

Im większy strach odczuwał Rossbach na myśl, że mogą przyjść ćwojska polskie z Wielkopolski i odbić Chełmżę, tym okrutniejszą podejmował reakcję, rozwijając niesłychany teror w stosunku do spokojnych obywateli. A miał się Rossbach czego obawiać, bo raz po raz przychodziły do niego listy z pogróżkami od chełmżyniaków, którzy uciekli do wojska polskiego i stamtąd grozili mu i przypominali, co go czeka jeśli Polacy wkroczą do Chełmży. Pogróżki te, dyktowane raczej junacką fantazją i dobrym humorem, Rossbach brał na rio i coraz większe ogarniało go przerażenie.

Dzień i noc pilnowali go ludzie, gdyż, jak powiada w swoich pamiętnikach, nie był pewien ani dnia ani godziny swego życia.

Naturalnie, że to wszystko wpływało na złe jego samopoczucie, to też Rossbach szalał, a wściekłość swą wywierał na spokojnych obywatelach.

„Gazeta Toruńska“ nr. 103 z dnia 9 maja 1919 r. tak opisuje rozwydrzenie Grenzschutzu w Chełmży: „We wtorek, dnia 29 kwietnia o godz. 9,45 wieczorem nadeszła patrolka z oddziałem kpt. Pabsta, składająca się z 20 żołnierzy i oficera Paluka do mieszkania p. Zablewskiego w ul. św. Jana. Dziewięciu żołnierzy weszło do pokoju, a dziesięciu pozostało poza domem. Zyblewski zdążył tylko wciągnąć spodnie, gdy rozpoczęła się rewizja. Kopano w ogrodzie, przewracano mierzwę w chlewie, rzucając wyzwiska: polnischer Hund, polnischer Agent, polnischer Flissak, polnische Saubande. W ogrodzie przyłożyli p. Z. do piersi trzy bagnety i rewolwer, wołając:

— Jetzt zeige uns, du polnischer Hund, wo du die Waffen vesteckt hast!

Wkońcu kazali sobie pokazać sklep, a wszedłszy do niego, uderzyli p. Z. w rękę, wytrącają mu palącą się świecę. W ciemności rozpoczęło się katowanie kolbami. W zamiarze ratowania życia zbiegł p. Z. na schody, lecz z zewnątrz żołnierz Grenzschutzu trzymał mocno drzwi. Pozostali żołnierze ściągnęli Z. na dół i bicie kolbami rozpoczęło się na nowo. Żona, na krzyk męża, zaczęła wołać o pomoc, lecz żołnierz, przyłożywszy jej rewolwer do piersi, zagroził natychmiastowym rozstrzelaniem, jeżeli odważy się z siebie głos wydać. O godz. 1-szej w nocy opuścili mieszkanie Zyblewskiego, zabrawszy zegarek kieszonkowy, ślubną obrączkę i kolczyki córeczki. Do ciężko chorego Z. zawezwano doktora i księdza.

Kronikarz tychże czasów notuje i takie wypadki znęcania się nad ludnością polską:

„W sobotę, dnia 26 kwietnia około godz. 6 po poł. właściciel domu i podmistrz Majewski szedł z żoną do spowiedzi. Naprzeciw nich jedzie dwóch oficerów, jeden z nich najeżdża na Majewskich i pyta:

— Wie heissen Sie?

— Majewski.

— Sind Sie ein Pole? — pyta żołdak.

— Ja, ich bin ein Pole — odpowiada spokojnie zaczepiony.

Na to uderza Majewskiego oficer szpicrutą w twarz i plecy i pojechał dalej.

* * *

Żołdacy Grenzschutzu zatrzymywali na ulicy mężczyzn, noszących czapki granatowe, na wzór maciejówek i bili ich szpicrutami, wymyślając im od polskich psów, świń itp.

Wzbogaceni rabunkami żołnierze Grenzschutzu, jakby przeczuwając, że panowanie ich kończy się, urządzali często zabawy, rozpierając się zuchwale po lokalach i na ulicy. Jeśli chodnikiem szedł Polak, pijana tłuszcza spychała przechodnia na jezdnię. Nawet w dzień było niebezpiecznie pokazywać się na ulicy w obawie prowokacji.

W kilka dni po aresztowaniu zakładników. zainscenizowano sąd wojenny, oskarżając ich o zdradę stanu. Uwięzionych po kilkanaście godzin przesłuchiwano bez przerwy, chcąc wymusić zeznania. Na innych nakładano wysokie kary pieniężne.

Na nic to wszystko się zdało. Do Chłemży dochodziły już odgłosy z Wielkopolski, oczyszczonej już z wojsk niemieckich Polacy przygotowują się tajemnie do przejęcia rządów. Dla nikogo nie było tajemnicą, że tylko czekać, jak bandy Grenzschutzu ogarnie panika ucieczki. To też Polacy tworzą Radę Ludową, do której weszli: Ks. Baniecki, T. Beszczyński, W. Bilski, J. Brzeski, St. Czapka, A. Czerwiński, M. Grabowski, L. Gółłkowski, ks. dziekan Fryntkowski, W. Kwieciński, S. Łukomski, A. Litkowski, Roch Lewandowski, Majewski, Jan Kos, Józef Jarzembowski, B. Kurzętkowski, B. Kurowski, M. Pelpliński, M. Piórkowski, dr. Pilatowski, Józef Ziółkowski.

Zabrano się w wielkiej tajemnicy do pracy organizacyjnej, czekając w pogotowiu na rozkazy z Poznania.

Rossbach czuł, co się święci, ale był bezsilny. Terorem i gwałtem stwarzał pozory swej siły. Im ostrzej i gwałtowniej

postępował z ludnością Chełmży, tym na silniejszy napotykał opór. Młodzież rwie się do walki. O jej brawurze świadczy następujący szczegół:

Było to w chwili największego ucisku i prześladowania Chełmży przez zbirów Grenzschutzu. iewola się nie kończyła. Niejeden zuch, uciekłszy z domu na teren poznański, gdzie pełnił słłużbę w wojsku polskim, nagle począł tęsknić do domu.. Trzeba bowiem wiedzieć, że wielu z nich, to zaledwie kilkunastuletni chłopcy, wyrwani z ławy szkolnej, wielu z nich to dzielni harcerzyki, ale wszyscy pełni animuszu bojowego, graniczącego wprost z zuchwalstwem.

Otóż taki młokos, a już wojak polski, zatęskniwszy za domem, przekrada się do Chełmży, ażeby się pochlubić mundurem wojska polskiego.

Zdarzały się epizody, poprostu wzruszające swą wymową. Taki żołnierzyk polski z dumą odwiedzał swych znajomych i zdumionym oczom sąsiadów pokazywał z pod płaszcza cywilnego mundur polskiego żołnierza. Co za szaleństwo brawury. Najmniejsza nieostrożność, nieopatrzne słówko i taki śmiałek mógłby przypłacić swe polskie zuchwalstwo życiem. Taki to był materiał wojacki. Ale śmiałkowie szli pewni do swojaków, wierząc, że nikt pary nie puści z ust. Taka to była solidarność!

* * *

Dramat Niemiec dobiegał końca. Rossbach poczuł się niepewnym w swej pozycji, to też wiedząc o tym, że prędzej czy później będzie musiał Chełmżę opuścić, mścił się, jak mógł, na spokojnych obywatelach, ponawiając wciąż aresztowania i rewizje.

Jak dalece szykanowano ludność polską świadczy choćby zakaz pokazywania się na ulicy bez posiadania osobistej legitymacji już po godz. 5-tej popołudniu, a po godz. 8-mej wieczorem wogóle z domu wyjść nie było wolno. Nie wolno było także wieczorami oświetlać mieszkań. Gdy ktoś z mieszkańców polskich nie zastosował się do rozkazu. patrolujący żołnierze Grenzschutzu bezceremonialnie strzelali do okien, do mieszkań, demolowali je i nakładali wysokie kary na nieposłusznych.

Gdy dnia 1 lutego miał się odbyć pogrzeb ofiar mordu podczas pierwszego starcia się z Grenzschutzem, komenda miasta nie zezwoliła na udział mieszkańców w ceremonii pogrzebowej w obawie, ażeby pogrzeb nie zamienił się w zbrojną manifestację. W tym smutnym obrzędzie uczestniczyć mogli tylko najbliżsi krewni i to za osobnym zezwoleniem.

W czasie pogrzebu wszystkie ulice od kościoła do cmentarza obstawione były Grenzschutzem i kulomiotami. Nawet z okien, pod grozą śmierci, nie wolno było przyglądać się konduktowi pogrzebowemu.

W czasie swego rocznego panowania w Chełmży, Rossbach kilkakrotnie urządził pochody manifestacyjne przeciwko przyłączeniu Pomorza do Polski. Wygłaszano płomienne przemowy, pełne pogróżek pod adresem Polaków i koalicji i przysięgano, że tylko za cenę krwi Pomorze oddadzą, ale i wtedy z Pomorza będą gruzy i popioły.

Były to pogróżki o geście teatralnym, które nikogo już nie zastraszyły, bo wieści nadchodziły inne, że moc polska krzepnie, że w Inowrocławiu tworzą się już pułki pomorskie ze zbiegłej młodzieży z całego Pomorza, która nie mając ujścia dla swego bojowego temperamentu, zasilała wojsko polskie w Wielkopolsce, żyjąc nadzieją i pragnieniem rychłego rozprawienia się z ciemięzcami polskiej ziemi.

— — — — — — — — — — — —

Skończyła się wreszcie niewola Chełmży. W dniu 20-go stycznia 1920 roku po południu Rossbach opuszcza jak niepyszny Chełmżę, przekonawszy się, że już awangarda polskiej siły zbrojnej obejmuje w posiadanie całe Pomorze. Wycofuje się tedy z przekleństwem na ustach, odgrażając się, że wkrótce tu przyjdzie, a wtedy biada Polakom.

Jeszcze bandy Grenzschutzu znajdowały się na skręcie ulicy Chełmińskiej, a już orzeł polski załopotał w rynku na powitanie wkraczających wojsk polskich. W jednej chwili miasto przybrało się w odświętne, godowe szaty dekoracyjne: wieńce, sztandary, chorągiewki o barwach narodowych, bramy triumfalne powstają jakby wyczarowane z ziemi. Na ulicach ożywienie, jakiego nigdy dotąd nie było. Cała ludność polska wyległa w podniosłym nastroju. Okrzykom radosnym i śpiewom nie było końca.

Dnia 21 stycznia o godz. 6.30 przy dźwiękach hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła“ wkracza wojsko nasze, witane chlebem i solą.

Był to jeden z najszczęśliwszych dni oswobodzonej Chełmży, tego miasta, które pod Grenzschutzem przeżyło najstraszniejsze dni ucisku i niewoli.

Pękły okowy! M ę c z e ń s k a Chełmża wróciła do swej Macierzy.

ROZDZIAŁ VI.

ORGANIZACJA RUCHU ZBROJNEGO W BRODNICY.

Sztab Grenzschutzu usadowił się w Jabłonowie, skąd panował nad całą Brodnicą i okolicą, czujnie strzegąc granicy.

Brodnica organizuje się wojskowo i gotuje się do walnej rozprawy ze zbirami Grenzschutzu. Podjęto akcję mobilizacyjną, ażeby na dany znak podnieść hasło powstania i przepędzić najeźdźcę.

W dziele organizowania wojska polskiego Brodnica spełniła specjalne zadanie. Położona tuż przy dawnej granicy rosyjskiej (7,5 km), ułatwiała młodzieży pomorskiej przedarcie się do Królestwa, gdzie ochotnicy z Pomorza zasilali kadry wojska polskiego, albo przeważnie garnęli się do utworzonych na terenie Wielkopolski pułków. Inni przyjmowali na siebie obowiązki łączników, przenoszących przez strzeżoną przez Grenzschutz granicę informacje i cenne wiadomości dla sztabu wojsk polskich.

Jednego z takich emisariuszy pochwycił Grenzschutz, a był nim ś. p. Józef Sukowski, którego bez sądu rozstrzelano przy torze kolejowym w Jabłonowie, w biały dzień, na oczach obywatelstwa polskiego, jako odstraszający przykład. Mimo to praca podziemna nie ustawała. Nie tylko bowiem przenoszono wiadomości, nie tylko zaopatrywano młodzież, przedzierającą się do wojska polskiego, ale także w wielkich ilościach przewożono broń i ekwipunek wojskowy.

Duszą całej akcji był niewidzialny i dobrze zakonspirowany Komitet Tymczasowy z śp. dr. Janaszkiem na czele. Dr. Karwat w swoim mieszkaniu urządza potajemny kurs polskiego Czerwonego Krzyża. Panie, biorące udział w tym przysposobieniu. oddały potem wielkie usługi podczas inwazji bolszewickiej na pobojowiskach i w szpitalach.

Działalność niewiast brodnickich zasługuje na specjalne wspomnienie, bowiem czynne były. narażając własne życie, przy gromadzeniu broni, którą nierzadko przenosiły pod płaszczami w biały dzień. ażeby zmylić czujność Grenzschutzu. Doskonale zorganizowany wywiad uprzedzał o dniu rewizji. wtedy zaczynało się ukrywanie broni Praca ta, pełna napięcia nerwów, wymagała wielkiej odwagi. Młodzież, a nawet starsi rwą się do broni. Na wieść o zwycięstwie polskich powstańców w Wielkopolsce. dokonano samorzutnie śmiałego napadu na koszary. Wywiązała się strzelanina. Jak dalece Grenzschutz był tym zaskoczony, widać z tego, że w ogól-

nym zamieszaniu zdołali powstańcy załadować cały wóz karabinami ręcznymi i jednym kulomiotem i wywieźć za granicę okupowanego Pomorza. Że nie doszło do większych represyj, to tylko dzięki temu, że Niemcy obawiali się krwawego odwetu ze strony tworzącego się wojska polskiego na terenie Wielkopolski. Obrazek ten wymownym świadectwem, jaki zapał bojowy panował na Pomorzu i że wystarczyłby jeden śmielszy gest, a nagromadzone zapasy prochu polskiej energii, tak długo tajonej, wybuchłyby z żywiołową siłą.

Człowiekiem, który stanąłby na czele powstańców pomorskich bógłby być młody, energiczny oficer zawodowy, instruktor kawalerii legionowej, lubiany przez swych podkomendnych, śp. Stanisław Ossowski z Najmowa. Jakoż z wybuchem rewolucji w Niemczech tworzy potajemnie kadry powstańcze w powiecie brodnickim, należąc jednocześnie do Rady Robotniczo-Żołnierskiej. Staje na ich czele, gotów był ważyć na wszytko. Dla powiatu brodnickiego jest tym, czym por. Donimirski i kap. Goga dla powiatu grudziądzkiego, czym Leon Czarliński dla okręgu wojskowego toruńskiego, a Szpręga dla wojskowego okręgu kaszubskiego.

Stanisław Ossowski, jako karny i posłuszny żołnierz, nie mogąc wyzyskać swego zapasu energii w bezczynności, zaniechał zapoczątkowanej akcji i wraz z rotmistrzem Ślaskim z Trzebcza przekrada się przez silne kordony niemieckie w pełnym rynsztunku i z końmi do szeregów wojska polskiego w Wielkopolsce.

dziej wzrastającego teroru Grenzschutzu, budzi się myśl, w ślad za tym rozwija się potajemna akcja. Tworzą się ochotnicze oddziały powstańcze, których szeregi mocno zasila Sokół Pomorski, przyczyniając się do tworzenia pierwszych kadr wojska polskiego.

Sformowała się pod dowództwem śp. ppor. Juliana Majewskiego pełna kompania powstańców polskich, doskonale nawet uzbrojonych, złożona z zawodowych żołnierzy Polaków z armii niemieckiej. Chłopcy ci przedzierają się po za kordon.

Z chwilą przedarcia się Ossowskiego do Wielkopolski, organizacja ruchu zbrojnego w Brodnicy, pozbawiona swego kierownika, zamarła. Powiatowa Rada Ludowa organizuje społeczeństwo w kierunku administracyjno-oświatowym, żeby z chwilą, gdy wojska polskie obejmą we władanie Brodnicę, można było obsadzić własnymi siłami wszystkie ważniejsze posterunki życia państwowego.

Czynnymi podkomisarzami w Radzie byli Sylwester Bizan i Władysław Węcławski, którz ypotem przez dookoptowanie mgr. Zygmunta Stankowskiego stworzyli rozszerzony ko-

mitet tymczasowy o szerokich pełnomocnictwach.

Wybrano również Rady Ludowe w każdym obwodzie parafialnym. Z Powiatowej Rady Ludowej wyłoniono Wydział Wykonawczy, w którego skład weszli: dr. Janaszek, Strzelecki. Krążawski. Węcławski, Stankowski. Olszewski. Różycki, Bizan, Przeczewski, ks. Czarnowski, Staszewski, Michnowski, Wydział Wykonawczy powołał do życia komisje: podatkową, szkolną, finansową itd.

Powiatowa Rada Ludowa miała ogromny posłuch wśród społeczeństwa, czego dowodem, że podatki, nałożone przez komisję podatkową, płacono z wielkimi nadwyżkami. W krótzano Radzie Naczelnej w Poznaniu. a za pozostałą sumę skupywano broń oraz amunicję, którą zwykle w nocy wywożono wozami przez granicę b. Królestwa dla wojska polskiego. Za karabin płacono żołnierzom niemieckim 40 mk., za parabellum 100 mk., bowiem w armii niemieckiej szerzyła się już korupcja.

Według prawdopodobnych obliczeń przez granicę b. Królestwa przedostało się wówczas do wojska polskiego około 600 ochotników. Wielkie usługi w przemycaniu broni oraz przeprowadzaniu ochotników oddał zagrodnik Mistelski z Dużyn.

Powiatowa Rada Ludowa, rozporządzając własnym skarbem, przyczyniła się do sfinansowania wyjazdu delegacji Mazurów i Warmiaków do Paryża, aby zaświadczyć o polskości tych ziem wobec koalicji.

Gdy traktat wersalski podpisano w Paryżu, powiat brodnicki był całkowicie przygotowany do przejęcia władz polskich. Pierwszym starostą, desygnowanym przez Radę Ludową, był Władysław Olszewski, burmistrzem Augustyn Gapa.

Nie danem było jednak zaznać spokoju Brodnicy.

W roku 1920 przerwany został front bolszewicki i nawała czerwonej armii zalała Polskę.

13 sierpnia 1920 r., po krótkim, a słabym oporze niewyćwiczonych oddziałów polskich (formacje liniowe wyruszyły na zagrożony front warszawski) — wojska bolszewickie 15 sierpnia 1920 r. zajęły Brodnicę. Oddziały polskie cofnęły się na Jabłonowo. Całe Pomorze zostało zagrożone. Na pomoc oddziałom wojskowym staje ludność cywilna. Organizują się wszędzie oddziały ochotnicze, a po miastach uzbraja się straż obywatelska. Do służby w polu zgłaszali się ochotnicy różnego wieku. Rozpiętość lat była znaczna: od 17-letnich chłopców do 50-letnich statecznych obywateli. Jednak element był dobry, a zapał i umiłowanie Ojczyzny granice wieku zacierały. Brakowało ochotnikom broni, to też, dopóki jej nie otrzymano, nowoformujące się oddziały ćwiczyły pożyczonymi karabinami. Brakło również koni dla kawalerii, tak, że w każdym

szwadronie formowano narazie dwa plutony konne i dwa plutony piesze. Ziemiaństwo pomorskie okazało się bardzo patriotyczne, bo, dowiedziawszy się o wielu brakach, postanowiło własnymi środkami dopomóc do sformowania ochotniczego pułku jazdy.

Brodnica była już przez wojska bolszewickie zajęta, gdy nasze siły zgrupowały się w okolicy Jabłonowa, czekając na posiłki. Jakoś pomoc nadeszła. D-two grupy jabłonowskiej obejmuj płk. Aleksandrowicz, szefem sztabu grupy został rtm. Ign. Mielżyński.

A tymczasem w Brodnicy bolszewicy zaprowadzają swe rządy, przekonani, że już stąd nie będą potrzebowali się wycofywać, że Polska już cała znajduje się w ich mocy.

Jak dalece byli pewni siebie, świadczy następująca odezwa do ludności, wydrukowana w języku polskim i niemieckim. Odezwa ta jest dziś rzadkim dokumentem, tak, że warto zapoznać się z jej buńczuczną i cyniczną treścią:

„Rozkaz 12-ej Dywizji Strzelców *).

Dnia 13 sierpnia t. r. przekroczyła część Dywizji stare granice Państwa Niemieckiego, przez objęcie Działdowa. Pobita armia polska mściła się na spokojnych mieszkańcach przez rabunek i gwałty.

Mieszkańcy przyjęli nas jako oswobodzicieli z pod jarzma polskiego.

Wszędzie powszechna radość.

Przyszliśmy jako pierwsi zastępcy rosyjskich sowietów, przez arystokratyczną prasę okrzyczani jako rabusie i bolszewiki, którzy za zadanie mają siać zniszczenie ludzkości i kultury.

Przyszliśmy jako oswobodziciele, którzy mają wielkie zadanie, pokazać mieszkańcom obsadzonych terenów co Rosja Sowiecka i czerwona armia. Naszą wolę i wszystkie nasze myśli zwróciliśmy na to, aby pierwsza radość, którąśmy przeżyli była podwaliną do nawiązania dobrych sąsiedzkich stosunków z Niemcami i ugruntowała trwały pokój“.

„Wszystkim komendantom i komisarzom jest rozkazanem:

1. Wszystkim walczącym w czerwonej armii wielkie w historyi zlecenie wyjaśnić, (? — pytajnik nasz) zaznacza-

---

*) Jakkolwiek fragment ten wychodzi poza ramy, zakreślone w pracy niniejszej, tojednak podajemy treść tej odezwy, jako charakterystyczny dokument czasu — w trosce, ażeby nie zginął w niepamięci.

jąc, że bliską jest godzina, kiedy dwa zwaśnione narody w ustroju nowego życia ręka w rękę pójdą.

2. Wszelkie konfiskacje i rekwizycje użytku prywatnego nie będą dopuszczane.

3. Wszystkie komisje zakupna itp. mają się we wszelkich wypadkach zgłaszać do odpowiednich władz miejscowych. Wszystkie działania na własną rękę są surowo zakazane.

4. Komendanci i komisarze przedsięwezmą najenergiczniejsze kroki, by własność prywatną wychodźców uchronić przed rabunkiem. W celu tym wystawione będą posterunki; a w razie dalszego posuwania się, oddaje się wszelki inwentarz żywy i martwy odnośnej władzy miejscowej.

5. Przy opuszczaniu jakiejkolwiek miejscowości winno się wojsko zgłosić do odnośnej władzy celem poświadczenia o beznagannem zachowaniu się (plądrowaniu i gwałtach) odnośnej części armii.

6. W razie gwałtów, dokonanych na osobach cywilnych, albo jego własności, należy się zgłosić do najbliższego komisarza, aby wykroczeniom zapobiegł, a winnych ukarał.

7. Przy zakwaterowaniach winno się energicznie zważać przed nadużywaniem spasania zboża i paszy.

8. Przy najmie furmanek winno się wojsko zgłaszać wyłącznie do władzy miejscowej, oddzielne działanie pojedynczych oddziałów jest surowo zakazane.

9. Niezastosowanie się do powyższego rozporządzenia będzie przez trybunał rewolucyjny, jako zdrada republiki sowietów rosyjskich, najsurowszemi karami karane.

Komendant 12-tej Dywizji Strzelców:
Rewa.
Komisarz wojenny:
Niekrasow.
Szef Sztabu: ze Sztabu Generalnego
Modenow".

* * *

PRZYGOTOWANIA DO RUCHU ZBROJNEGO W GÓRZNIE.

I małe Górzno, w pow. brodnickim, w czasie okupacji Grenzschutzu myślało o tym, jakby zrzucić nienawistne jarzmo i przyspieszyć chwilę powrotu do Ojczyzny. Dobrze zapisał się w dziejach walk nad odzyskaniem niepodległości śp. ks. prob. *Wietrzykowski*, który był duszą całego ruchu konspiracyjnego. Nieznane są szerszemu ogółowi polskiemu

brawurowe wysiłki i niezmordowana akcja niepodległościowa Górzna w latach 1918—19. A przecież to małe miasteczko, zaszyte w lasach, na uboczu leżące, mimo „czujnej opieki" Grenzschutzu umiało się zdobyć na czyn pozytywny, który się wyraził w tym, że gdy całą Polską targnął prąd wolnościowy, a Wielkopolska zrzucała jarzmo niemieckie, tu garstka młodzieńców samorzutnie tworzy oddział powstańczy i rwie się do walki. Że zapał ów był wielki, świadczy, że takie Górzno zarządziło u siebie próbną, tajną mobilizację i około 1 000 chłopa stanęło do czynu.

Mobilizację tę przeprowadzono w niezmiernie ciekawy sposób. Ponieważ oddziały Grenzschutzu śledziły każdy podejrzany ruch, każde tajemnicze posunięcie działaczy polskich, pilne dając oko zwłaszcza na młodzież, a z drugiej strony, ponieważ trudno było zwołać na apel wszystkich gotowych do walki w miejscu publicznym, kilku organizatorów i działaczy konspiracyjnych, między innymi śp. *Szarzyński Władysław*, *Szarzyński Alfons*, *Szwarc Kazimierz*, w porozumieniu ze śp. ks. *proboszczem Wietrzykowskim* postanowili zwołać byłych wojskowych na mszę św. za poległych na wojnie. Tajemny poszedł rozkaz, żeby stawiła się młodzież i starsi, zdatni do noszenia broni, iżby można w przybliżeniu ustalić cyfrę ochotnika.

Na mszę św. przybyło mnóstwo ludzi, niejedni z ukrytą bronią, tak, że dobry batalion możnaby z nich było uformować. Wywiad wojskowy już przygotowano. Wiedziano, gdzie stoją słabsze liczebnie załogi Grenzschutzu, gdzie są gniazda karabinów maszynowych.

Do powstania w Górznie nie doszło, bo i w większych polskich ośrodkach wyczekiwano na jakieś płomienne hasło z góry. Takiego hasła nie było. Organizacja ruchu zbrojnego nie poszła jednak na marne, dała ona społeczeństwu polskiemu poczucie własnej siły, aczkolwiek ukrytej, niemniej jednak mogącej dać znać o sobie w każdej chwili.

ROBDZIAŁ VII.

GRENZSCHUTZ W LIDZBARKU.

Lidzbark ciężkie przeżywał dni pod rządami Grenzschutzu. Młodzież, obawiając się terroru, uciekała przez granicę do Wielkopolski, gdzie tworzyły się oddziały wojsk pomorskich.

O terrorze, uprawianym przez Grenzschutz w Lidzbarku, świadczy fakt, że na kilka dni przed wkroczeniem wojsk polskiego, oficer niemiecki sporządził listę poważnych rodzin polskich, które miały być stracone. Tylko groźnej postawie społeczeństwa przypisać należy, że do wykonania zamiaru nie doszło.

W dniu 17 stycznia 1920 r., na polecenie rządu polskiego, przejmuje władzę z rąk niemieckich *Leon Pluciński*, a 18-go stycznia rano wkracza do miasta wojsko polskie *).

Na dwa dni przed oficjalnym wkroczeniem wojska polskiego do Lidzbarka przybył oficer łącznikowy por. *Skowroński,* aby z Grenzschutzem omówić dokładnie plan opuszczania miasta przez wojska niemieckie i objęcia przez wojska polskie. Ludność polska, nie mogąc się doczekać swoich wojaków, przybyła przed ratusz, ażeby zamanifestować swe uczucia wobec polskiego oficera. Tłum wszakże został rozpędzony.

Wojska niemieckie opuszczały Lidzbark w przygnębieniu przez Kiełpiny do Prus Wschodnich. Odchodząc, odgrażali się, że tu jeszcze powrócą. Zaledwie Niemcy opuścili miasto, wkroczył 3 i 4 szwadron pułku strzelców konnych. Żołnierze zsiadłszy z koni, obnażyli głowy i potężnym głosem odśpiewali „Rotę". Na spotkanie wojska wyszły cechy z chorągwiami i muzyką, a dzieci polskie po raz pierwszy na wolnej już ziemi głośno i jawnie odśpiewały pieśni patriotyczne.

Całe miasto było rzęsiście wieczorem iluminowane, a domy udekorowane chorągwiami. Nawet żydzi i Niemcy *), zawsze wrogo względem Polski usposobieni, tym razem brali udział w dekoracji miasta, uniesieni ogólnym zapałem i entuzjazmem. „Co się dnia tego w sercach naszych działo — pisze kronikarz — tego żaden język i żadne pióro określić nie jest w stanie. Poważnieni się godzili, nieprzyjaciele się jednali,

---

*) Dokument przejęcia władzy w oryginale brzmi:

„Von dem Bürgermeister Jung wird heute an die polnische Regierung, vertreten durch den Kaufmann Leon Pluciński von hier, das Standesamt der Stadt Lautenburg und des Bezirks Oberförsterei Lautenburg übegeben. Der bisherige Standesbeamte und seine beiden Vertreter bleiben bis auf weiteres in Tätigkeit. Die Regeister und Akten bleiben zu ihrer Verfügung, ebenso die Stempel.

Jung — Leon Pluciński".

*) Kalendarz Łąkowski „Drwęcy" z roku 1930. W innych miastach Niemcy zachowywali się inaczej.

nieznajomi się całowali. Okrzykom radosnym nie było końca".

Nie długo jednak było dane Lidzbarkowi przeżywać te chwile radosne i podniosłe, bo oto od wschodu nadciągnęły groźne chmury. Bolszewicy. „Czerwona armia". 6 lipca na murach Lidzbarku pojawiła się odezwa:

„Wszyscy zdolni do noszenia broni do szeregów". — „Ojczyzna w potrzebie". „Żołnierze, jeszcze jeden wysiłek".

Kraj w niebezpieczeństwie: Niemcy przepuszczają bolszewików przez Prusy Wschodnie. Na Pomorzu, niezniszczonym dotąd wojną, pojawiły się niechlujne hordy bolszewickie w czerwonych koszulach i charakterystycznych olbrzymich czapach futrzanych, a wśród nich uwijali się instruktorzy niemieccy, byli żołnierze i oficerowie, którzy zajmowali się wywiadem wojskowym na terenie sobie znanym, niszczeniem przewodów telegraficznych i urządzeń kolejowych. Miasta o przewadze ludności niemieckiej, jak Działdowo, witały z entuzjazmem bolszewickie hordy, przystrajając nawet swe domy chorągwiami i wywieszając prowokacyjne dla polskości napisy. W Kowalewie Niemcy zwołali nawet wiec, na którym zupełnie jawnie wypowiedzieli się za sojuszem z bolszewikami, wygłaszając przeciw Polsce podburzające mowy, aż Straż Obywatelska musiała iich poskramiać. Polacy Działdowa, Lidzbarka, Golubia, Wąbrzeźna, Brodnicy, Lubawy, Nowegomiasta z ciężkim sercem spoglądali na sojusz dwóch potęg: Niemiec i Rosji. Zdawało się, że miecz zagłady wisi już nad Polską i Pomorzem i lada chwila spadnie na nasze głowy.

Dnia 3 sierpnia Lidzbark przeżywał dzień wielkiej paniki, bo doniesiono, że nadchodzą pierwsze patrole bolszewickie. Słychać już było strzały w niedalekiej od miasta odległości. Dnia 11 sierpnia spadła pierwsza bomba na miasto z bolszewickiego samolotu, a w nocy z 22 na 23 sierpnia zaczął się atak. Lidzbark został nazajutrz zajęty. Rozpoczęło się plądrowanie mieszkań i sklepów, rabunki.

Nad miastem płonęła czerwona łuna pożaru. Przez jeden wieczór naliczono w okolicy coś 16 pożarów. Lidzbark był doszczętnie zrabowany i ogołocony. Mieszkańcy kryli się w domach. Na miasto nikt wyjść nie miał odwagi, gdyż śmierć czyhała na każdym kroku. Dopiero w dniu 25 sierpnia bolszewicy, odparci przez *pułk Aleksandrowicza*, cofają się w popłochu.

ROZDZIAŁ VIII.
SPISEK POWSTAŃCZY W TORUNIU.

Toruń, jak i inne miasta pomorskie, w przełomowych latach końca wojny światowej, przygotowywał się konspiracyjnie do zrzucenia jarzma pruskiego.

W czasach, gdy na ziemiach Pomorza Grezschutz szaleje nienawiścią do Polski, ludzie nieustraszonej odwagi i bezwzględnego poświęcenia organizują Straże Obywatelskie, skupiają żołnierzy Polaków, wracających z frontu.

(W Toruniu z początkiem stycznia 1919 r. powstaje tajna organizacja polskich żołnierzy, stworzona przez Wacława Hulewicza, której zamiarem było oswobodzenie południowej części Prus Zachodnich wraz z Toruniem.)

Spiskowcy pracowali systemem dziesiątkowym, który polegał na tym, że każdorazowo tylko dziesięciu spiskowców wraz z dowódcą było wtajemniczonych w pracę organizacyjną. Oddziały te miały być zawsze gotowe do boju. (Nawiązano kontakt z Naczelną Radą Ludową w Poznaniu. Kurierem był Ludwik Makowski, który oddał sprawie nieocenione usługi.)

(W międzyczasie tworzą się Rady Żołnierskie i Robotnicze, które reprezentowały rewolucyjny i rozkładowy element wielkiej armii niemieckiej. Polacy wstępują do Rad, ażeby pod ich bokiem łatwiej prowadzić spiskową robotę.) Z frontu wschodniego wracają wojska niemieckie, wierne Wilhelmowi. I te wojska formowały t. zw. „Grenzschutz". Czas był wielki, ażeby się przygotować na wszelkie niespodzianki. (Nawet ówczesny komendant garnizonu Rad Żołnierskich, ulegając namowom Polaków, zgodził się na stworzenie Straży Obywatelskiej dla zabezpieczenia spokoju w mieście.)

Straż Obywatelska pod dowództwem śp. majora Tadeusza Janowskiego, nie ograniczając swych zadań wyłącznie do funkcyj porządkowych w mieście, ćwiczy się w popołudniowych godzinach we władaniu bronią, ażeby być przygotowaną w tym momencie, gdy trzeba będzie Prusaków z Torunia przepędzić. Komendantem Straży Ludowej był Ludwik Makowski. W początkach do Straży zgłosiło się blisko 1000 ochotników, a każdy z nich był mniej lub więcej z bronią oswojony, gdyż byli to przeważnie żołnierze armii niemieckiej. Każdy z nich posiadał nawet broń, z wojska „zafasowaną". Ochotnicy ci byli podzieleni na 8 kompanij, rozlokowanych w różnych częściach miasta.

Zorganizowanie tej Straży w Toruniu oddało wielkie usługi Polakom, gdyż hamowało niejedne wybryki dzikich oddziałów wojskowych, wracających z pola.

Jeden z naocznych świadków, a zarazem aktywnych działaczy w Straży Obywatelskiej, opowiada następujący epizod, jaki się wydarzył w Podgórzu.

Oto do prezesa Rady Ludowej zgłasza się samozwańczy dowódca takiego dzikiego oddziału, wracającego z frontu i żąda groźnie, żeby go przepuszczono; gdyż zamierza maszerować na Poznań, ażeby stłumić powstanie wielkopolskie. Nie był tylko pewny tyłów i w tym wypadku chcąc je sobie zabezpieczyć, pyta się, jak się miejscowi Polacy zachowają na wypadek, gdy on ruszy na Poznań.

Prezes Rady Ludowej zawezwał do siebie komendantów Straży Ludowej i ci oświadczyli owemu dowódcy, że jeśli chce, może przyjść do Podgórza ,ale czy żywa noga z Podgórza wyjdzie, za to ręczyć nie mogą, bowiem uzbrojonej Straży Obywatelskiej jest tu około 5000 chłopa frontowego i po wojskowemu wyekwipowanego. Dowódca oddziału zbladł. Odechciało mu się marszu na Poznań. Zawrócił do Berlina, po drodze rozsiewając wieść ,że w Toruniu i w Podgórzu stoją wojska polskie, gotujące się do ataku na Dworzec Główny i na koszary.

Blady strach poszedł po Niemcach. A ze strony polskiej strach ten jeszcze podsycano, puszczając wieść, że powstańcy wielkopolscy maszerują na Toruń, i że wkrótce przyjdzie do zajęcia Dworca Głównego. Chwila była do wykorzystania bardzo szczęśliwa.

Jak dalece Niemcy obawiali się przyjścia wielkopolskich wojsk powstańczych, dowodzi ten szczegół, że Rada Żołnierska i Robotnicza, a także sam dowódca garnizonu, który nie był zbytnio pewien swoich ludzi na wypadek starcia z polskimi powstańcami, zaproponował Straży Obywatelskiej, ażeby ta wysłała delegację do dowództwa wojska polskiego w Poznaniu, wspólnie z przedstawicielami Rady Żołnierskiej i Robotniczej oraz przedstawicielem garnizonu w celu nawiązania rokowań.

Zadaniem tej delegacji było powstrzymać natarcie wojska polskiego, gdyż — jak mówił dowódca garnizonu, — Niemcy z Torunia ustąpią dobrowolnie, ponieważ mają rozkaz oddać Toruń bez przelania krwi.

Jakoteż delegacja w składzie następującym: kpt. Wagner, przedstawiciel garnizonu, Raube, przewodniczący Rady Żołnierskiej i Ludwik Makowski z ramienia Rady Ludowej i Straży Obywatelskiej wyruszyli w kierunku Gniewkowa.

Dowództwo w Poznaniu było już uprzednio przez specjalnego posłańca poinformowane, że taka delegacja się zjawi. W Gniewkowie delegacja zatrzymała się u por. Zieliń-

skiego, który stał z oddziałem wojska polskiego. Przyjąwszy delegację, por. Zieliński oświadczył, że powstrzyma się od wszelkich kroków zaczepnych, oczywiście w porozumieniu z naczelnym dowództwem w Poznaniu, o ile naturalnie ludność polska w Toruniu nie będzie szykanowana, ani terroryzowana przez Grenzschutz. Delegacja wróciła do Torunia.

Efekt tej misji był nadzwyczajny. Niemieccy delegaci rozpowiadali, że powstańcy to nie żadna banda, lecz dobrze zorganizowane wojsko polskie. Słuchając sprawozdania delegacji z odbytej misji dowódca garnizonu, generał chwycił się za głowę i wyszeptał: „Armes Deutschland, was machen bloss deine Söhne" ,a kpt. Wagner wypowiedział poważnie i posępnie taką opinię o powstańcach polskich: „Militär und Disciplin wie bei uns 1914".

W dwa dni potem znów wyjechała delegacja do Poznania na czele z śp. mec. Szumanem, przewodniczącym Rady Ludowej po instrukcje do Naczelnej Rady Ludowej. Delegację przyjęli Wojciech Korfanty i Adam Poszwiński.

A jak się zachowywała miejscowa ludność niemiecka. Bywało różnie. Od wrogiej postawy przechodzi do prób pojednania i układów. Tak np. niemieckie Volksraty oraz radca rejencyjny w Bydgoszczy Cleinow szukali porozumienia z przywódcami polskimi, proponując i agitując, ażeby z Poznańskiego i Prus Zachodnich, t. j. Pomorza *) stworzyć polsko-niemiecki „Oststaat".

Pomorzanie jednak na taką ugodę nie poszli, dopatrując się w tym i słusznie, chytrego podstępu.

Co skłoniło przywódców niemieckich do podjęcia takiej inicjatywy? Oto byli pewni, jak np. w Toruniu, że Polacy urządzą pogrom, gdy nadejdą wojska polskie.

Doszło do tego, że niemieckie władze miejskie zaczęły już prowadzić pertrakacje z delegacją polską o sprzedaż Torunia za 1 milion marek. Niemiecka przezorność i przebiegłość liczyły na to, że zawsze coś z Torunia wywiozą, gorzej będzie gdy się ruszą polscy powstańcy. Ale i po stronie polskiej był chaos i brak skoordynowania wysiłków. Była tu i tam wzajemna obawa i nieświadomość co do dalszych zamiarów przeciwnika.

Jak dalece garnizon niemiecki liczył się z zajęciem Torunia przez Polaków, dowodzi to, że generał, dowódca garnizonu, zwołał swych podwładnych komendantów w celu zastanowienia się nad wytworzoną sytuacją, gdyż według pouf-

---

*) „Powiat i miasto Chełmno" w opracowaniu Dziedzica i dr. Pawła Ossowskiego.

nych jego, tj. dowódcy garnizonu, relacyj toruńczycy mają spisek już przygotowany.

W wyniku tej narady wydano rozkazy, obsadzenia karabinami wszystkich ważniejszych obiektów, co też wykonano. Wojska niemieckie, stacjonowane w Toruniu ,znajdowały się już w stanie rozkładu, tak, że nawet Rada Żołnierzy i Rob. nie mogła pohamować wybryków oddziałów niemieckich, awanturujących się i prowokujących ludność polską. Dużo trzeba było zimnej krwi i rozwagi ze strony polskiej ażeby z lada powodu nie dopuścić do rozlewu krwi. Cały Toruń stał jakby na beczce prochu. Wystarczyła mała tylko iskierka, ażeby płomień rozgorzał niewstrzymaną siłą. Ale Polacy święcie dochowali przyrzeczenia danego Naczelnej Radzie Ludowej, że będą unikali daremnego przelewu krwi.

Prowokacje ze strony niemieckiej, zdarzały się raz po raz. Oto obrazek jeden z wielu.

Któreś niedzieli, w godzinach porannych na Rynku Staromiejskim, przed Ratuszem, stało kilku młodzieńców w rogatywkach z orzełkami, ożywioną prowadząc w polskim języku rozmowę. Naraz podchodzi do nich żołnierz niemiecki i zrywa jednemu z młodzieńców orzełka, po czym rzuca go na ziemię.

Nie uszło to Prusakowi na sucho, gdyż młodzieńcy rzucili się na niego, pobili go do krwi, że tylko ratował się ucieczką, osłaniany nawet przez starszych i zrównoważonych obywateli. Gdyby nie to, doszłoby w Toruniu do krwawych wypadków.

Niemcy jednak zupełnie inaczej potraktowali tę naszą rozwagę, bo oto nie trwało długo ,jak wyskoczył z ulicy Chełmińskiej w pełnym rynsztunku oddział żołnierzy niemieckich, zaalarmowany doniesieniem, że Polacy biją Niemców.

Zaczęły padać strzały z karabinów na oślep. Kilku żołnierzy wpadło do kościoła Panny Maryi, wywołując popłoch wśród modlących się.

Wojska stanęły w pogotowiu bojowym naprzeciwko poczty w postawie wyzywającej.

Tymczasem z kościoła zaczął wychodzić tłum wiernych. Sytuacja była pełna nerwowego napięcia.

Podniecenie ze strony polskiej doszło do tego stopnia, że już, już a rzucą się Polacy na Niemców całą swą masą.

Niemcy, czując przez skórę, co się święci, przyjęli pozycję do ataku.

Moment pełen dramatycznego naprężenia. Jeden prowokacyjny okrzyk, jeden gest rozpaczliwy i brawurowy ze strony Polaków, a Rynek Staromiejski zabarwi się krwią.

Już któryś z pruskich żołnierzy zmierzył się bagnetem

do Czesława Radoniskiego i Franciszka Więcka. Przytomność i cud ocaliły ich od niechybnej śmierci Naciągnięta struna nerwów tak z jednej, jak i z drugiej strony groziła katastrofalnym pęknięciem. Byłaby się powtórzyła scena podobnie jak w Czersku, o czym później.

Aliści na cokół pomnika Wilhelma wbiega obywatel Makowski, przytomności umysłu nie tracąc. Przemawia do jednej i do drugiej strony. Prosi o rozejście się, o niepoddawanie się uczuciom zdenerwowania i zachowanie spokoju. Niebezpieczeństwo zażegnano szczęśliwie.

Ale scena ta była jakby przestrogą, że prędzej, czy później do starcia dojść musi, jeśli sytuacja nie zostanie wyjaśniona. Młodzież tym usilniej i gorliwiej sposobi się do przyszłej batalii. Zwłaszcza byli wojskowi prą do walki. Trzeba dać upust tej krwi gorącej, a niecierpliwej.

(Element bojowy wysyła się do wojska polskiego, tworzącego się na terenie Poznańskiego. Do kierowników Rady Ludowej zgłasza się dziennie nieraz po 50 ochotników, których oburza bezczynność. Chcą swe siły oddać sprawie polskiej. Rada Ludowa organizuje tajne biuro werbunkowe i ekwipunkowe. Przez Lubicz i Młyniec przedzierają się całe partie ochotników a także i komunikiem.) Nieocenione w tej sprawie usługi oddali: Teofil Kliński właściciel podówczas nadgranicznego majątku Młyniec, rodzina Czarlińskich z Zakrzewka, Dankowski z Torunia, Lenartowicz, Rychlicki Edmund, Ignacy Ciążyński, Wacław Hulewicz, Jerzy Szuman i wielu innych. Ochotników *) starano się wyposażyć w gotowy ekwipunek, ażeby nie byli ciężarem formującej się młodej armii polskiej.

Zdemoralizowane wojska niemieckie były ogromnie łakome na pieniądze. To też Rada Ludowa gromadzi zasoby pieniężne.

---

*) Ochotnicy ci, rekrutowali się w dużej mierze z szeregów Sokolich rozwijają akcję powstańczą. Już w okresie niewoli, pod płaszczykiem wycieczek, w lasku łysomickim za wiedzą właściciela Jana Donimirskiego zaprawiają się do późniejszych walk orężnych. Sokół toruński stworzył w swym łonie kadrę wojskową, której komendę tworzyli: Leon Rozynek, Franciszek Wiśniewski Bolesław Lendzion, Stanisław Piotrowicz, Bogdan Durmowicz, Jan Kilanowski, Stefan Rumiński śp. Jan Rabski, Józef Prusiecki, Władlsław Prusiecki, Bernard Chrzanowski, Antoni Zieliński, Bronisław Zacharek, Szady, Jaroszewski. Sztab tworzyli: Wacław Hulewicz, Bolesław Makowski, Koźlikowski z Nieszawki, Zygmunt Krzyżagórski. Rychliński.

Jak ofiarne było społeczeństwo polskie świadczy fakt, że zdołano zakupić od Niemców ekwipunek na 5.000 ludzi, jak kompletne ubrania, bieliznę, tornistry, derki i wszelkie przybory. I to ciekawe, że żydzi, którzy naogół nieprzychylnie względem Polaków zajmowali stanowisko w owych czasach przełomowych, to właśnie, jakby chlubny a zaszczytny wyjątek okazał się w żydzie Gersonie, właścicielu młyna **) który odważył się udzielić miejsca w swych ubikacjach na przechowanie tych rzeczy.

Niestety nie udało się tajemnicy długo utrzymać. Wracające z frontu oddziału Grenzschutzu, dowiedziawszy się o tej nielegalnej polskiej intendenturze, aresztują w nocy członka Rady Ludowej Makowskiego, mającego nad tym ekwipunkiem pieczę. Cały zapas skonfiskowano.

W obawie represyj ze strony niemieckiej, poczęto organizować siły wojskowe, zdolne przeciwstawić się niemieckiemu terorowi. Tajny komitet wojskowy schodził się nocami u Ignacego Ciążyńskiego, w mieszkaniu śp. Urbańskiej, przy ulicy Łaziennej, ażeby opracować i przemyśleć plan zajęcia Torunia. Do komitetu należeli: Wacław Hulewicz, Ignacy Ciążyński, Bolesław Kuczyński, Ludwik Makowski, Dr. Szaman jun., Jerzy Szuman, Głębocki, Edmund Rychlicki, Bolesław Makowski. Komitet pracował w ścisłej łączności ze strażą obywatelską.

Na komendanta miasta przewidziany był Edmund Rychlicki, który opracował plan obsadzenia poszczególnych części miasta i obiektów wojskowych.

Niestety brak ostrożności z naszej strony miał obrócić w niwecz cały plan tak kunsztownie i z takim zapałem przedsięwzięty.

Nieszczęście chciało, że w tym samym domu, gdzie urzędował Edmund Rychlicki, jako oficer płatnik, na drugim piętrze, przy ulicy Żeglarskiej (dziś kasyno wojskowe) — urzędowała tajna policja. Podpadło jej, że coś do Rychlickiego zbyt często przychodzą Polacy i z nim długo konferują. Jakoż istotnie Rychlicki, który był przewidziany na komendanta miasta Torunia, zwoływał do siebie poszczególnych członków tajnego komitetu i tu obmyślano plany zajęcia Torunia.

Spiskowcy mniemali, że właśnie w biurze, pod okiem władz niemieckich, będą bezpieczniejsi, że nikomu nie przyjdzie na myśl podejrzewać, jakoby tu mogła istnieć komórka polskich powstańców.

**) Relacja komendanta Straży Ludowej.

Stało się niestety inaczej. Któregoś dnia tajna policja wyśledziła, jak Rychlicki na Wałach, obok dawnej bramy „Kaszownika“ szkicował dojście do dawniejszej centrali forteczne. Z miejsca go aresztowano, a w jego biurze przeprowadzono rewizję, która dała sporo obciążającego materiału.

Rewizja była tak szczegółowa, że odrywano tapety i podłogi. Jednocześnie z Rychlickim aresztowano kilku członków Rady Ludowej w Toruniu, ale tych po kilku dniach zwolniono dla braku dowodów winy.

To aresztowanie na chwilę sparaliżowało całą akcję konspiracyjną. Spiskowcy na wiadomość o aresztowaniu Rychlickiego, którą przyniósł Ciążyński, rozbiegli się do domów, ażeby niszczyć dowody kompromitujące, a także uprzedzeń tych, na których policja niemiecka miała zastawić sidła.

Na skutek tego uwiadomienia Wacław Hulewicz, Głębocki, Ciążyński, Szuman Jerzy jeszcze tej samej nocy zdołali zbiec do Poznania i tam zgłosili się do wojska polskiego.

Niemcy całą sprawę rozdmuchali do potwornych rozmiarów, puszczając pogłoskę, że nareszcie została wykryta centrala polskiego spisku powstańczego na całe Pomorze.

Kilku obywateli udało się do generała ,pytając o powód aresztowania Rychlickiego.

Delegacja ta miała na czele Raubego, przewodniczącego Rady Żołnierskiej,; który również tym wypadkiem był zaskoczony. Na czele delegacji polskiej stał Makowski. Generałowi tłumaczono, że aresztowania te mogą wśród Polaków wywołać rozruchy, a zgnębiona represjami ludność może chwycić za broń.

Dowódca wojsk niemieckich uspokoił delegację ,że aresztowanym nic się nie stanie, i że nazajutrz po przesłuchaniu będą zwolnieni.

Stało się inaczej. Nastąpiły dalsze aresztowania, a w garnizonie zarządzono ostre pogotowie.

Ludwika Makowskiego aresztowano w sposób podstępny. Sprowadzono go do gmachu więziennego pod pozorem, że ktoś chce się z nim tu widzieć, a gdy ten znalazł się w gmachu więziennym, nagle zatrzaśnięto za nim drzwi.

Przez 24 godzin o aresztowanym nikt nie wiedział co się z nim stało. Nawet zabroniono o tym powiadomić rodzinę. Wszelkie zażalenia i skargi pisemne pozostały bez rezultatu. W tym samym czasie aresztowano i wywieziono do fortów pod Lubiczem ks. prałata Wysińskiego, Antoniego Brejskiego, Jakuba Suleckiego, Helenę Jaskólską, Woźniaka.

W jakiś czas potem zwolniono wszystkich, z wyjątkiem Rychlickiego i Makowskiego, którym zarzucono organizowanie pomorskiego powstania. Podczas przesłuchiwania Makowskiego, jak dowód winy pokazywano listy adresowane do Makowskiego od poszczególnych kół śpiewackich. Sędziowie byli skonsternowani, gdy się wyjaśniło: że Makowski był prezesem pomorskiego Związku Kół Śpiewackich, i że listy te nie mają nic wspólnego z organizacją powstania. Po pewnym czasie Makowskiego zwolniono, natomiast Rychlickiego, w obawie, ażeby nie uciekł z więzienia toruńskiego, przewieziono do więzienia w Grudziądzu, jako bardzo niebezpiecznego spiskowca, ponieważ u niego w domu znaleziono różne notatki, szkice objektów wojskowych itd.

W więzieniu grudziądzkim Rychlicki przesiedział pół roku, i niewątpliwie wywieziono by go w głąb Niemiec, jednakowoż zdołał się z więzienia grudziądzkiego zwolnić, a omyliwszy czujność straży, zbiegł do Poznania. W czasie, gdy aresztowanych trzymano w więzieniu, niemiecka policja przeprowadzała w domach podejrzanych o spisek szczegółowe rewizje ,obchodząc się brutalnie z domownikami. Grenzschutz był tak już na tropie organizacji niepodległościowej, że musiano niektóre ważne papiery popalić, co się stało z wielką szkodą dla przyszłych historyków, dokumenty, któreby rzuciły dużo światła na organizację zbrojnego ruchu na Pomorzu.

— — — — — — — — — — — — — —

Czas przejęcia Pomorza przez wojska polskie zbliżał się. Makowski, wypuszczony z więzienia z braku wyraźnych dowodów winy, zabiera się jako adiutant Komendy Straży Ludowej do prac przygotowawczych, nawiązując kontakt z dowództwem Dywizji Pomorskiej w Poznaniu. Napływ ochotników z Pomorza do Wielkopolski nie ustaje. Jedną z głównych stacyj zbornych ochotników było Zakrzewko, majątek Czarlińskiego. Pomimo, iż tu kwaterował Grenzschutz, właściciel Zakrzewska, lekceważąc grożące mu niebezpieczeństwo, z nadzwyczajnym poświęceniem i ofiarą patronował akcji mobilizacyjnej. Przez czas dłuższy udawało się czujność straży Grenzschutzowych omylić, jednakże w lipcu Niemcy nakryli dwie powózki z 5 końmi z majątku Zakrzewka, którymi chcieli się przeprawić przez kordon 19-letni syn właściciela Zakrzewka, Lech Czarliński, Jan Donimirski z Dembieńca, Henryk Chudziński, trzech braci Piskorskich i stangret Wiśniewski. Wszystkich aresztowano i odstawiono do Torunia.

Aresztowano także właściciela Zakrzewka. Po długim a uciążliwem śledztwie na drugi dzień aresztowanych zwolniono po złożeniu kaucji 60.000 mk.

Tak względne obejście się z aresztowanymi należy sobie tłumaczyć chyba tym, że aresztowani byli to znani na terenie Pomorza obywatele, i że Niemcy obawiali się zbrojnej reakcji spiskowców. W ogóle wszelkie zarządzenia, całe zachowanie się Grenzschutzu cehował jakiś nierówny niepokój; raz butni do granic dzikiej bezwzględności to znów zadziwiali swym niewyjaśnionym umiarem. Raz wpadali na majątki i rekwirowali w bezapelacyjny sposób konie, żywność, co się im podobało, to znów po kilku dniach nieprawnie zdobyte rzeczy wracali właścicielom. Niekonsekwencja ta była wyraźnym już objawem zdezorganizowania i słabości naszych okupantów.

I tak, gdy landrat Klemann tępił wszelkie objawy polskości, to w październiku, jego już następca, (Klemann wyprowadził się przezornie do Niemiec) Hoffman nie sprzeciwiał się wiele żądaniom delegata Adama Czarlińskiego, który z ramienia Rządu P. urzędował przy landranturze, ażeby utworzyć na powiat toruński oddział polskiej żandarmerii. Z początku powiat płacił nawet żołd temu oddziałowi, a gdy zabrakło pieniędzy, z własnej kieszeni żołd płacił delegat Czarliński. Oddział ten w liczbie 20 osób pozostawał pod komendą starszego wachmistrza b. armii niemieckiej Drzewuszewskiego.(Powiat toruński był jedynym na Pomorzu powiatem, który miał własną żandarmerię.)

Z pośród prac organizacyjnych spiskowców pomorskich, bodaj najniebezpieczniejszą było przewożenie przez granicę różnych takich papierów, w celu utrzymania łączności ze zwycięskimi powstańcami wielkopolskimi, przeorganizowanymi już na wojsko polskie. Przy przekraczaniu granicy groziła kula w łeb. Nieocenione zasługi w tej mierze oddał ś. p. Trzeciak, który wielokrotnie nocami się przedzierał, ryzykując życiem.

Współcześni tym przełomowym chwilom stwierdzają, że w szeregach robotniczych, zwłaszcza w okręgu toruńskim, znajdował się duży zastęp ludzi nawskroś ofiarnych i patriotycznie usposobionych. Ci ludzie, z olbrzymim poświęceniem pracowali dla dobra Pomorza i całej, do życia się budującej wolnej Ojczyzny.

Aczkolwiek wykrycie spisku O. W. P. (Organizacji Wojskowej Pomorza) w Toruniu, sparaliżowało całą akcję, jednak nie do tego stopnia, ażeby zamarła wszelka myśl o zbrojnej akcji. Gdy wykryto jedno ognisko buntu, organizowało się w innym miejscu drugie. Ofiarnych ludzi nie brakło. Wśród ówczesnych działaczy niepodległościowych

nie można pominąć Bronisława Kladzińskiego, który służąc w pruskiej armii, z narażeniem własnego życia przedarł się do powstańców wielkopolskich, jako zaufany Rychlickiego, ażeby tam wyjednać pomoc.

Toruń można było łatwo opanować, — utrzymać bez pomocy z zewnątrz byłoby nieco trudniej, ponieważ w Bydgoszczy 2000 kolejarzy niemieckich w każdej chwili mogłoby akcję powstańczą sparaliżować.

Jednym z najmniej znanych bohaterskich epizodów pomorskiego zrywu do wolności, było aresztowanie w Toruniu, w pierwszej połowie 1919 roku, Stefana Kamasy, który przed przybranym nazwiskiem Ernesta Riedla, utrzymywał łączność pomiędzy siłami powstańczymi Wielkopolski, a spiskowcami pomorskimi, jednocześnie kierując, akcją dywersyjną na tyłach Grenzschutzu [1].

Stefana Kamasę aresztowano w okolicach Lubicza, — gdzie został raniony kulą karabinową przez żołdaków niemieckich. Rannego przewieziono do Torunia. Aresztowanie to było również jednym z ciosów dla ruchu zbrojnego na Pomorzu, gdyż Kamasa należał do tych bojowych i zuchwałych szaleńców, którzy nie uznają kompromisu z wrogiem. Jednakowoż toruńska Straż Obywatelska czuwała. Kamasę z więzienia uwolniono w warunkach żywo przypominających epizod „Dziesięciu z Pawiaka".

A było to tak. Gdy w stanie zdrowia Kamasy nastąpiła poprawa, przewieziono go do więzienia, gdzie oczekiwał terminu rozprawy przed sądem wojennym. Członkowie Straży Obywatelskiej poruszają wszystkie sprężyny, ażeby aresztowanego uwolnić. Z pomocą przyszli podoficerowie pruscy narodowości polskiej: Jan Lewandowski i Sylwester Cegielski, pełniący wtenczas służbę w szpitalu więziennym jako personel sanitarny. Lewandowski i Cegielski byli w stałym kontakcie ze Strażą Obywatelską, to też opracowali plan porwania rannego w przeddzień rozprawy przed sądem wojennym. Kamasie groziła kara śmierci.

Krytycznego dnia szpital więzienny otrzymał z Komendantury telefonogram z wiadomością, że na jutro ma być odkomenderowanych czterech dobrych strzelców. Telefonogram ten został przez wspomnianych dwóch podoficerów przejęty i zniszczony. Tych „czterech dobrych

---

[1]) „Dziesięciu z Pawiaka" mgr. Stanisław Wałęga, Straż nad Wisłą nr. 2 — rok 1938.

strzelców" miało oznaczać czwartą godzinę rano, o której Riedl (inaczej Kamasa) miał być rozstrzelany.

Ponieważ skazaniec Riedl po wyleczeniu był przekazany z oddziału chirurgicznego do tymczasowego więzienia szpitalnego i pilnie strzeżony przez posterunek niemiecki, który chodził po korytarzu wpodle drzwi celi Kamasy, więc obu podoficerom spiskowcom było tym trudniej dostać się w jakiś sposób do celi więźnia, aby go powiadomić o powziętym przez nich zamiarze wykradzenia go. Klucze od celi, w której oprócz skazanego znajdowało się jeszcze dwóch innych więźniów Polaków, miał komendant odwachu. Obaj sanitariusze otrzymali od Komendy Straży Obywatelskiej wódkę, ażeby nią upić posterunek a przede wszystkim komendanta odwachu, by w ten sposób zabrać mu klucze.

Plan ten nie udał się, gdyż komendant posterunku, jakby coś przeczuwał, nie chciał pić wódki, wskutek czego kradzież kluczy nie udała się. Wobec powyższego postanowiono działać otwarcie, nie podstępem, stawiając na kartę własne życie.

Zbliżyła się godzina 9 wieczór. Nagle w korytarzu zapanowały ciemności. To Cegielski i Lewandowski popsuli w więzieniu przewody elektryczne. Zrobiło się zamieszanie, z którego skorzystali śmiałkowie i, uprzednio umiejętnie podrobionym kluczem otworzyli celę, wypuszczają więźnia.

Stało się to nieprawdopodobnie tak błyskawicznie, że nikt narazie się nie zorientował, a jednak skończyłoby się nieomal tragicznie, bo posterunek, słysząc skrzyp drzwi w ciemnym korytarzu, dał kilka strzałów, mierząc na ślepo. Chybili. A tymczasem zbiegowie byli już poza sferą niebezpieczeństwa.

Strzały strażnika zaalarmowały główny odwach „Grenzschutzu", który otoczył szpital ze wszystkich stron. Przeszukano cały teren szpitalny bezskutecznie. Zbiegowie byli już poza jego murami.

Teraz chodziło o przewiezienie zbiega poza granicę Pomorza. Drugą część planu opracował sztab Straży Obywatelskiej. Polecenie przewiezienia Kamasy powierzono członkowi Straży Obywatelskiej, zaufanemu strażakowi toruńskiej Straży Pożarnej Feliksowi Kobusińskiemu.. — Zbieg tymczasem był w Toruniu z uwagi na to, że granice były czujnie strzeżone wzmocnionymi posterunkami. Pozostawanie w Toruniu w ukryciu również było niebezpieczne.

Sytuacja staje się wielce napięta. Wtedy Kobusiński wpada na pomysł. Nazajutrz, po ucieczce więźnia, Kobusiński idzie do Inspektora Straży Pożarnej Niemca niejakiego Kuno i prosi go aby mu jako strażakowi pozwolił wziąć karetkę pogotowia wraz z końmi i pojechać do Nowej Wsi w powiecie toruńskim po chorą ciotkę, gdyż rzekomo chodziło o pośpiech przewiezienia jej do szpitala toruńskiego.

Inspektor Kuno, nie przeczuwając podejścia, zezwolił. Wtenczas Kobusiński biegnie do kryjówki Kamasy, — przebiera go w swe strażackie ubranie, a sam w ubraniu cywilnym siada obok Kamasy i pojechali do Nowej Wsi. Przyjechawszy na miejsce bez przeszkód, zatrzymali się u jednego z gospodarzy, należącego też do wtajemniczonych i sprzysiężonych. Gospodarz ten przebiera się za chorą ciotkę, którą, jako „chorą" umieszczają wewnątrz karetki, by ją przewieźć niby do Torunia, a w rzeczywistości ta ciotka miała służyć za przewodnika zbiegom, nie znającym drogi, wiodącej ku granicy.

Nowawieś, leżąca w pobliżu granicy, była przepełniona żołnierzami Grenzschutzu. Zaciekawieni przejazdem tajemniczej karetki pogotowia z Torunia, nie spuszczali jej ani na chwilę z oka. Sytuacja stawała się znów w najwyższym stopniu niebezpieczna. I kiedy karetka zamiast jechać do Torunia raptem zmieniła kierunek jazdy, kierując się w stronę granicy polskiej, Grenzschutz w mig zorientował się, że to manewr. Obsypano jadących gradem kul. Na szczęście chybili i spóźnili się z pościgiem [2]).

Po szalonej jeździe udało się zbiegom dotrzeć wraz z karetką szczęśliwie do pierwszej polskiej placówki na granicy. Przedostawszy się promem przez Wisłę do Aleksandrowa, uciekinierzy udali się do toruńskiego pułku w Inowrocławiu, a stamtąd do Poznania.

— — — — — — — — — — — — — — —

Po aresztowaniu Rychlickiego akcja spiskowców toruńskich ograniczała się do takich czynności, jak mobilizowanie ochotników dla armii wielkopolskiej; skupo-

---

2) Stefan Kamasa żyje po dziś dzień w Radomiu. W dniu 12 sierpnia 1937 r. potwierdził on w obecności notariusza fakt ocalenia go z niewoli pruskiej w Toruniu przez: Lewandowskiego, Cegielskiego, Kobusińskiego. Nazwiska gospodarza z Nowejwsi nie dało się ustalić.

wano, a jeśli się dało wykradano w niemieckim „depot“ amunicję, proch, granaty ręczne.

Zaznaczyć należy, że to wykradanie amunicji było stosunkowo ułatwione przez to, że wśród Niemców panował zamęt, gdyż już przygotowywali się do ewakuacji Pomorza, wywożąc całymi wagonami sprzęt wojenny w głąb Niemiec.

Przewożenie broni, municji było jednak wielce niebezpieczne i uciążliwe, ponieważ wszelka komunikacja kolejowa była przerwana. Zresztą nie dałoby się tych rzeczy koleją przewieźć, dlatego też musiano dobrze maskować furmanki, przewożąc ten ekwipunek w słomie w workach.

Bardzo wydatnej w tym względzie pomocy udzielał śp. Jakub Dunajski, właściciel majątku Żyda, koło Lubicza, w pow. toruńskim. Majątek ten graniczy z Drwęcą, a więc przylegał do byłej Kongresówki. W tym majątku zbierali się nocą ochotnicy, a posiliwszy się na drogę, przekraczali kordon.

Gdy Niemcy wykryli to gniazdo polskich ochotników, musiano wtenczas szukać bezpiecznej kryjówki w innej stronie.

ROZDZIAŁ VIII.

ORGANIZOWANIE WOJSKA POLSKIEGO W GRUDZIĄDZU.

Zbyt warowną twierdzą niemczyzny był Grudziądz, aby tu można było się pokusić o zbrojny czyn niepodległościowy w przełomowych latach 1918 — 1919 r.

Czy jednak społeczeństwo tutejsze biernie się przyglądało dziejowym wypadkom, toczącym się jak lawina po drodze narodowych przeznaczeń? Czy obojętny był Grudziądz na to wszystko, co się dokoła działo?

Ludzie, fakty i zdarzenia temu przeczą.

Ten Grudziądz, germanizowany i prusaczony z taką wytrwałą mocą, jak bodaj żadne inne z miast pomorskich, w pamiętnych chwilach końca wojny światowej, dał żywe świadectwo polskiej prawdzie. Na dźwięk słowa: „Ojczyzna“ — „Wolność“ — żywo drgnęły serca.

O większym i śmielszym wysiłku zbrojnym nie sposób było nawet marzyć. A jeśli nie można było porwać za broń, jak to uczyniła Wielkopolska, jak na to odważyła

się ludność Borów Tucholskich, jak się porwał Czersk, Kościerzyna, to przecież tu, w tym Grudziądzu, tak silnie obstawionym garnizonem wojsk niemieckich, wre konspiracyjna wojskowa praca.

Jedna z wybitniejszych ról w walce o wolnośc Pomorza w roku 1918—1919 przysługuje Jerzemu Donimirskiemu z Dembińca.

Przybywszy do Grudziądza po wybuchu rewolucji wojskowej w Niemczech, Jerzy Donimirski, z ramienia Polskiego Podkomisariatu w Gdańsku, zajął się organizowaniem i uświadamianiem żołnierzy polskich w armii niemieckiej, którzy naraz, wskutek wypadków rewolucyjnych, znaleźli się w dezorientowanej sytuacji: czy iść wspólnie z rewolucyjnymi Radami żołnierzy niemieckich, jako część rozbitej i rozpolitykowanej armii, czy stanąć na gruncie własnych narodowych ideałów z myślą o Wolnej i Zjednoczonej Polsce.

Jerzy Donimirski pojął swą rolę należycie, a wypełnił ją chlubnie z całym poświęceniem i bohaterską odwagą. Na zawahał się ani na chwilę.

Pierwszą jego czynnością jest rejestracja wszystkich żołnierzy Polaków w Grudziądzu. Skupiwszy wokoł siebie około 800 żołnierzy, odbywa z nimi w listopadzie i grudniu 1918 roku potajemne zebrania, na których nie tylko uświadamia żołnierzy polskich co do roli, jaka im wkrótce może przypaść w udziale, ale jednocześnie odbywa z nimi przeszkolenie wojskowe w obszernej gospodzie zamiejskiej przy końcu ulicy Lipowej.

Wśród żołnierzy duch panuje podniosły. Wieść o tym nastroju przedostaje się do niemieckich władz wojskowych przez szpiegów. Akcja Donimirskiego zostaje wykryta.

Komendant fortecy grudziądzkiej, generał Madaliński (Niemiec, mimo wybitnie polskie i historyczne nazwisko) wydał nakaz niezwłocznego aresztowania Donimirskiego, który przecież był oficerem armii niemieckiej. Wiadomo, jaka za taką działalność czekała kara. To była pruska zdrada stanu.

Dwóch strzelców konnych, podwładnych Donimirskiego, z wielkiej życzliwości uwiadomiło go, że w nocy oddział 40 żołnierzy z karabinami maszynowymi ma się udać do Dembińca, majątku rodziny Donimirskich, żeby go aresztować.

Przyjaciele namawiają Donimirskiego, żeby uciekał. Ale ten odrzekł, że żołnierz nie jest tchórzem i jeśli ginie,

to ginie na posterunku z honorem. Zjawił się sam u swoich władz przełożonych i zapewnił słowem oficerskim, że nie ucieknie.

Cofnięto nakaz aresztowania nocnego, nie mniej jednak, po przeprowadzeniu długotrwałego śledztwa, po uciążliwych a drobiazgowych przesłuchach i protokółach Donimirskiego aresztowano. Przesiedział dwa tygodnie w areszcie, gdzie już byli uwięzieni kpt. Goga z Grudziądza, Siudowski i ks. Wrycza z Chełmży i inni, skazani za działalność patriotyczną.

Niebezpiecznym jednak wydawało się Niemcom trzymanie w więzieniu tych Polaków wspólnie, zatem przeniesiono Donimirskiego pod silnym konwojem do fortecy „Courbier'a" nad Wisłą; gdzie przesiedział dwa miesiące, oskarżony o ciężką zdradę stanu, jako oficer aktywny. Uwięzionemu groziła kara śmierci.

Obostrzono nad Donimirskim dozór, nikogo z rodziny nie wpuszczono, rygor był twardy, wikt aresztancki. Rodzina czyni starania. Nawiązano kontakt z dozorcą więzienia. Był to człowiek chciwy na pieniądz, zgodził się na ułatwienie więźniowi ucieczki za wysokim oczywiście wynagrodzeniem; ale więzień dumnie propozycję odrzucił, nie chcąc przez to narazić aresztowanych razem z nim innych żołnieży Polaków, mówiąc, że kapitan okrętu dzieli los całej załogi!

Po dwóch miesiącach więzienia nadszedł termin sądu wojennego w Grudziądzu.

W tym samym czasie złożyło się jakoś tak szczęśliwie, że w Poznaniu, gdzie już władzę sprawowali Polacy, aresztowano niemieckiego oficera lotnika, oskarżonego o rzucanie bomb na miasta w czasie walk powstańczych.

Rodzina uwięzionego Donimirskiego chwyciła się tego, jak ostatniej deski ratunku.

Zrozpaczony ojciec, chcą ratować syna od niechybnej śmierci posyła do Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu tajnego kuriera z prośbą, ażeby ta zaproponowała Berlinowi wymianę więźniów.

Propozycję tę Berlin odrzucił, traktując snać Donimirskiego jako niebezpiecznego przestępcę, godzącego w pruską rację stanu: Niech ginie lotnik, ale i ten śmiałek, organizujący polskie wojsko przypłaci życiem.

I nadszedł dzień sądu wojskowego. Sądzić miano trybem doraźnym z uwagi na charakter czynu. Przewodniczył trybunałowi gen. v. Baehr, znany ze swego pola-

kożerstwa. Oskarżał prokurator wojskowy, bronił zaś płomiennie, a wymownie ś. p. Stefan Łaszewski (późniejszy pierwszy wojewoda pomorski). Przesłuchano cały szereg świadków — szpiegów, którzy zeznali, że Donimirski odbywał tajne zebrania wojskowe, na których się zbierało od 400 do 500 żołnierzy Polaków, że mówiono tam o Ojczyźnie wolnej i niepodległej od morza do morza, że do tej Polski należyć muszą Prusy Zachodnie.

I niechybnie, po takim zeznaniu świadków wyrok już zapadł na więźnia, lecz — o, dziwo! — staje świadek Brill, prezes Rady Żołnierzy i Robotników, który naraz zeznaje na korzyść oskarżonego.

Na sali zdziwienie. Słuchają, bo prezes Rady Żołnierzy to postać poważna, z którą się wszyscy liczą. Jego zeznania ,to nie zeznania płatnych szpiclów. Ten główny i najbardziej wiarygodny świadek oświadcza ku zdumieniu sędziego trybunału, że sam polecił Donimirskiemu spisać wszystkich żołnierzy Polaków w garnizonie grudziądzkim, celem ewentualnego dopuszczenia ich przedstawiciela do Rady Robotników i Żołnierzy.

Sąd wojskowy znalazł się w trudnym położeniu. Zeznanie prezesa Rady Żołnierzy są poważne ,boć w rzeczy samej toczyły się pertraktacje w Grudziądzu o dopuszczenie polskiego przedstawiciela do Rady Żołnierzy i Robotników. (Świadek Brill, był ożeniony z Polką i tym tłumaczono jego życzliwą i przychylną opinię dla oskarżonego).

Po kilkugodzinnym posiedzeniu, trybunał wojskowy uwolnił oskarżonego od zarzutu popełnienia zdrady stanu z braku dostatecznych dowodów. Więzień był wolny. Prokurator wnosi sprzeciw.

Odzyskawszy wolność, Donimirski przekrada się jeszcze tej samej nocy do Poznania przez kordon graniczny pod Brodnicą, i zaciągnął się w służbę Orła Białego, powiewającego na wolnych sztandarach w wolnej już Wielkopolskiej Ziemi.

ROZDZIAŁ IX.

POWSTANIE W CZERSKU I PARTYZANTKA W BORACH TUCHOLSKICH.

Grenzschutz, mszcząc się za niepowodzenia Niemców w Wielkopolsce, począł gnębić ludność Czerska i oko-

licy. Pod pozorem szukania broni, zgraje pruskiego żołdactwa napastowały ludność polską, urządzając rewizje, podczas których ginęły pieniądze, kosztowności.

Terror band Grenzshutzu był taki okropny, że u Borowiaków wywołał rozpaczliwą potrzebę oporu.

Organizują się więc Borowiacy potajemnie.

Gorączkowa praca wre nad zorganizowaniem młodzieży. Entuzjazm panuje wśród polskich oragnizacyj. Tworzą się samorzutnie oddziały i nocami odbywają ćwiczenia. Sytuacja pełna napięcia. Do tej beczki prochu brak tylko iskry, ażeby w Borach Tucholskich rozległ się jeden wielki okrzyk: Wojna na śmierć lub życie.

I nadszedł pamiętny dzień 3-ch Króli, 6 stycznia 1919 r. Już od samego rana ludność Czerska i okolicy biegnie do kościoła, ażeby wymodlić od Wszechmocnego rychłe wyzwolenie Pomorza. Młodzież przystraja swe czapki orzełkami polskimi, dzieci przychodzą z chorągiewkami w barwach narodowych. W powietrzu czuć jakieś niesamowite podniecenie.

I wśród oddziałów Grenzschutzu zmobilizowało się pruskie żołdactwo. Idą do kościoła. Ale nie na modlitwę, lecz na prowokację. Otaczają świątynię i szydzą z Polaków, odgrażając się, że Pomorza nie oddadzą, chyba po trupach. Nie przestając na wyzwiskach, ten i ów z żołnierzy Grenzschutzu, ośmielony spokojną postawą Polaków, zabiera się do znieważania orłów polskich, zdzierając je niektórym przechodniom z czapek. Nawet krzyżyki i medaliki zrywają, ciskając o ziemię.

Starsi powstrzymują zapalną młodzież, która gotowa rzucić się z gołą pięścią na wroga. Miara cierpliwości się przebrała. Jeden z zuchów wyrżnął pięścią pruskiego żołdaka w twarz, gdy ten zbliżył się do niego chcąc mu zerwać orła. Uderzenie było tak tęgie, że napastnik nakrył się nogami. Powstała przed kościołem bójka. Borowiacy runęli na żołnierzy Grenzschutzu i mocno im przetrzepali skórę. Po stronie niemieckiej było kilku rannych i dwóch zabitych. Ale i po stronie polskiej nie obeszło się bez ofiar, boć Grenzschutz miał wybitną przewagę, stacjonując w sile 5000 żołniearzy, i mając przy tym do dyspozycji armaty, broń, gdy po stronie naszej było kilkadziesiąt starych rewolwerów, kłonice, drągi, kosy i gołe pięści. Walka była nierówna, lecz mimo to trwała do wieczora.

Sytuacja stawała się groźną, bo oto dowodca Grenzschutzu, kazał wycelować armaty na miasto i kościół, gro-

żąc ,że obróci wszystko w perzynę, skoro ludność polska niezaprzestanie walki.

Groźba ta, odniosła wręcz przeciwny skutek. Polacy, zagrzani pierwszym sukcesem, biorą komendanta Grenzschutzu do niewoli.

Błyskawicznie rozdzielają między sobą broń zdobytą na Niemcach. Kto broni nie posiadał, nasadzał kosę sztorcem na drąg. Przez dwie godziny Czersk znalazł się nagle w rękach polskich. Grenzschutz, widząc co się święci, i że za zbombardowanie Czerska ich komendant może przypłacić życiem, odstępuje od spełnienia swej groźby, natomiast sposobi się do ataku.

Według otrzymanych potajemnie relacyj, atak Grenzschutzu miał nastąpić o godzinie 5-ej po południu. I ze strony polskiej zaczęto się przygotowywać do odparcia napadu. Cały Czersk zamienił się w obóz wojenny. Polacy gorączkowo umacniali swoje szeregi posiłkami z pobliskich wiosek. Ale wszystko to mało, wobec przeważającej liczby Grenzschutzu. W obozie polskim duch dobry. Spieszno jednak Niemcom do walki. I przy tym wstyd, że tak długo ludność cywilna, opiera się regularnym oddziałom wojskowym. W zdenerwowaniu przyśpieszają atak o kilka godzin wcześniej.

W pełnym rynsztunku wojennym, z orkiestrą, już około godziny 2-ej po południu, wali żołdactwo ulicami Czerska. Powitał ich ze strony polskiej grad kul.

Dowódca oddziału padł trupem. Kilku rannych. W szeregach Grenzschutzu zamieszanie. W szeregi polskie wstępuje odwaga. Wywiązała się strzelanina.

Rezultat walki był do przewidzenia. Liczebnej przewadze uzbrojonego wroga musiała ulec ludność cywilna, złożona z garstki młodzieży, starców, kobiet i dzieci. Lecz Niemcy przekonali się, jaki duch panuje wśród Borowiaków.

W wyniku tej walki nastąpiły aresztowania. Jako zakładników wzięto Dr. Zielińskiego, Ropińskiego, Marchlewskiego, Szpręgę Augustyna, Kopickiego, Skubickiego, Sękowskiego i wielu innych. Nie odważono się jednak skrzywdzić zakładników polskich, wymuszono tylko na nich, że zostaną zwolnieni, skoro będą wpływali na ludność polską w duchu uspokajającym.

Niemcy zwyciężyli, ale bynajmniej ze swego zwycięstwa nie byli dumni. Przeciwnie, przestali lekceważyć siły polskie, bowiem wiedzieli, że po stronie polskiej brakowało tylko broni. To też, aczkolwiek zainscenizowano sąd wojenny, przed który pociągnięto wszystkich wybitniej-

szych działaczy polskich, to przecież do rozprawy nie doszło. Nie chciano już prowokować ludności polskiej, przekonawszy się, jaka w tym ludzie spoczywa siła.

A czy ze strony polskiej nastąpiło uspokojenie umysłów? Czy po tej pierwszej próbie zbrojnego oporu Borowiacy dali za wygraną? Nie! W Czersku samym zachowano pozorny spokój, ażeby niepotrzebnie nie wywołać rozlewu krwi, natomiast walka uparta i długa z wrogiem przeniosła się w Bory Tucholskie, gdzie cudów waleczności dokonywał Gnaciński, zwany Kmicicem Borów Tucholskich.

KONIEC.

ŹRÓDŁA

1. Gazeta Toruńska nr. 103, rok 1919.
2. Kalendarz Łąkowski, nakładem „Drwęcy“ rok 1930.
3. Powiat i miasto Chełmno, w opracowaniu Jana Dziedzica i dr Pawła Ossowskiego.
4. „Historia Pomorza“ — Frankowskiego.
5. Roczniki „Dziennika Bydgoskiego“, „Słowa Pomorskiego“, i „Dnia Pomorskiego“.
6. Wydawnictwo „Dzieje Pomorza“ — Czersk.
7. Pomorze — księga zbiorowa.
8. „Zabory“ — dodatek do „Dziennika Pomorskiego rok 1935.
9. Wspomnienia osobiste z przełomowych chwil prezydenta Włodka.
10. Wspomnienia mecenasa, szambelana Szychowskiego (relacja ustna).
11. Jednodniówka Sokola, Grudziądz — Rok 1894—1934.
12. Jednodniówka Związku Weteranów Powstań Narodowych, koło Chełmno.
13. Zarys dziejów miasta Tczewa, rok 1927.
14. Sokół na Pomorzu w 10-lecie Niepodległości, rok 1927.
15. Radzyn dawniej a dziś, Albin Nowicki, rok 1934.
16. Ksiądz redaktor Dembiński — (relacja ustna).
17. Prezes Lech Czarliński (relacja ustna).
18. Odrowski, Chełmno (relacja ustna).
19. Wydawca „Głosu Wąbrzeskiego“, red. Bolesław Szczuka (relacja ustna).
20. Grudziądz wczoraj, dziś — jutro. 1920—1935.
21. Pierwszy rok pracy Związku Polaków w Gdańsku, rok 1934.
22. 40 lat Sokoła w Toruniu (1894—1934).
23. Zarys historii m. Wąbrzeźna, Józefa Stańczewskiego rok 1935.
24. Zarys historii Związku Strzeleckiego Okręgu Pomorskiego Wacława Góry (Rok 1911—1935).
25. Kalendarz „Posłaniec błogosławionej Juty“ — Chełmża 1928 r.

26. „Młody Gryf“ nr. 4, rok 5.
27. U podstaw ruchu Niepodległościowego na Pomorzu dr Kazimierza Korzeniowskiego (w rękopisie).
28. Rada Żołnierzy Polaków w Grudziądzu w 1918 r. Tadeusz Ziółkowski — „Dzień Pomorski“ nr 274, rok 1933.
29. Udział Sokolstwa w pracy o wyzwolenie Pomorza, mec. Kazimierz Tomaszewski z Torunia, prezes Sokolstwa Dzielnicy Pomorskiej (w rękopisie).
30. „Dziennik Pomorski“, Chojnice rok 1935.
31. „Życie Pomorza“ pod redakcją red. Aleksandra Markwicza.
32. Księga Pamiątkowa 10-lecia Pomorza. Rok 1920—1930.
33. „Dziesięciu z Pawiaka w wydaniu toruńskim“, mgr. Stanisław Wałęga, „Młody Gryf“, rok 1938.

SPIS NAZWISK